Nr. 30. Kraków, dnia 24 lipca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Po dniach Grunwaldzkich.

Dni Grunwaldzkie w Krakowie były dniami potężnej manifestacyi czci dla twórców naszej przeszłości państwowej i naszego istnienia narodowego, manifestacyi wiary w przyszłość i jedności narodowej mimo kordonów. Manifestacya była potężną nietylko rozmiarami swemi, ale przedewszystkiem napięciem ducha i powagą swego charakteru. Nie mogą uroczystościom krakowskim powagi odmówić nawet korespondenci wrogich nam gazet niemieckich. I, co podnieść należy jeszcze szczególnie, ludność miasta Krakowa zachowywała się wszędzie z własnej inicyatywy *z taktem,* odpowiadającym godności chwili: wśród publiczności panował *ład i porządek,* straż obywatelska nie miała trudnego zadania nawet wówczas, gdy ulicami miasta, niejednokrotnie wązkimi, przesuwał się potężny, kilkudziestotysięczny pochód. Widocznie pruska pikelhauba nie jest nieodzownym warunkiem porządku publicznego; widocznie ludność polska umie się obyć bez kurateli i przestrzegać ładu publicznego, o ile jest rzeczywistym gospodarzem we własnym domostwie.

Nie będziemy z natury rzeczy dawali na tym miejscu szczegółowego poglądu na wszystkie wzniosłe momenty, jakie złożyły się na wielkie święto narodowe. Wobec dokładnych opisów w prasie codziennej, wskażemy obecnie na najwybitniejsze tylko objawy i chwile.

Taką wybitną chwilą było uroczyste nabożeństwo w piątek *w kościele Maryackim,* który sam ze siebie mówi już kilkowiekową tradycyą i wywołuje w duszy wspomnienia wielkiej naszej przeszłości. Zaparł się w piersi zgromadzonych dech, gdy na kazalnicy ukazał się *ks. biskup Bandurski.* Padły słowa ogniste a rozumne, śmiałe, a wypływające ze źródła pełnego poczucia kapłańskiej i obywatelskiej odpowiedzialności Najbardziej uniósł się złotousty kaznodzieja, gdy dowodził, że nie mamy powodu wstydzić się swojej przeszłości, kryć się z nią i milczeć z błędnych motywów, że, przeciwnie, mamy obowiązek głośnego przed całym światem wskazania na chwały pełne stronnice naszych dziejów, bo one mówią, że byliśmy, a przyznanie się do nich i szukanie w nich pokrzepienia i nauki na przyszłość mówi, że jesteśmy i że będziemy. Nastąpiło wezwanie, które było błaganiem i równocześnie rozkazem, byśmy stali jak mur, byśmy niezłomni byli jak skała. Niech się w was zgłuszy duch ciemności — wołał kapłan-obywatel — a niechaj zwycięży duch światła! I w tej chwili padła poprzez okna zza chmur szeroka smuga promieni słonecznych, a kaznodzieja kończył: Stać murem, a odrodzenie przyjdzie, widzę je, jest blizkie!

Uroczystość odsłonięcia pomnika Jagiełły na placu Matejki wypadła może nieco chłodno. Tłumaczy to się tym, że olbrzymia większość zgromadzonych nie mogła dosłyszeć słów odnośnych mówców. Chwytano uchem przeważnie tylko głośniej wypowiedziane zwroty *Paderewskiego.* A przemówienie fundatora pomnika na placu Matejki, podobnie jak toast, wygłoszony przezeń dnia następnego podczas bankietu Bractwa strzeleckiego, odznaczało się głęboką, jak najszlachetniejszą myślą narodową, przyodzianą w piękną formę i wypowiedzianą z temperamentem, szczerością i serdecznością, tak że bez przesady rzec można, iż Paderewski był podczas dni Grunwaldzkich *zarówno bohaterem czynu, jak mistrzem słowa.* W obu swych przemówieniach podniósł Paderewski z naciskiem, że dzieło, w obliczu którego stoimy, nie powstało z nienawiści, lecz zrodziło się z głębokiej miłości ojczyzny, nietylko w jej minionej wielkości i dzisiejszej niemocy, lecz i w jasnej, silnej przyszłości. Na Strzelnicy zaś przestrzegał Paderewski specyalnie jeszcze, byśmy nie bali się święcić wielkich rocznic narodowych i nie uginali kornie czoła.

Kto na placu Matejki nie mógł dosłyszeć słów mistrza, zatapiał się wzrokiem z lubością w szlachetne jego oblicze i składał mu w duchu dziękczynienie, że mimo dróg żywota, które częstokrotnie wiodły go w daleki, obcy świat, serce jego pozostało tak polskim, tak gorącym, zdolnym do tak wielkiej ofiary. Przedstawiciele dzielnicy, którą zalać chce się obcą, „wyższą“ kulturą, z tym większym jeszcze odnosili się zapałem do mistrza, który dzierżąc w dłoni sztandar wszechświatowej kultury muzycznej, wierny pozostał sztandarowi narodowemu, nietylko słowem, lecz czynem.

Sam pomnik, skoro się oczom zebranych objawił, wywarł istotnie silne wrażenie. Możnaby podyskutować o stosunku Jagiełły do jego konia rycerskiego (narazie z gipsowego odlewu), szczególnie przy obserwacyi z frontu — twórca pomnika, p. *Wiwulski*, zamierza podobno dokonać ewentualnie stosownych zmian — ale pozatym imponuje pomnik zarówno całokształtem swym, jak bardzo oryginalnie przeprowadzonymi szczegółami: śmiało pomyślanym cokołem i silnie przemawiającymi grupami bocznymi.

Nader wybitnymi momentami uroczystości były także *ćwiczenia Sokole* na boisku na Błoniach w sobotę i niedzielę popołudniu. Wrażenie robił już widok zbitej masy stukilkudziesięciu tysięcy widzów na wysoko wyniesionych trybunach. O wkroczeniu na boisko 4 tysięcy Sokołów w sprawnych szeregach powiedział Paderewski na bankiecie w Strzelnicy, że w kim w tej chwili żywiej nie zagrała krew, w tego żyłach nie płynie krew polska. Szczególnym powodzeniem cieszyły się ćwiczenia około ośmiuset Sokolic, przedstawiających w zgrabnych swych kostyumach, z barwnymi wywijadłami w dłoni obraz nader malowniczy. Punkt kulminacyjny osięgnął zapał podczas manifestacyi, urządzonej przez galicyjskich Sokołów w sobotę królewiakom, a w niedzielę poznaniakom.

Najbardziej podniosłą częścią obchodu Grunwaldzkiego był niewątpliwie niedzielny *pochód na Wawel.* Publiczność witała szczególnie entuzyastycznie konne banderye Krakusów, Sokołów konnych i pieszych, dalej Towarzystwo szkoły ludowej z kilkoletniemi dziećmi na czele, a entuzyazm zmienił się już w burzę okrzyków, oklasków, rzucanie kwiatów i ściskanie dłoni, gdy zbliżyły się delegacye z zaboru rosyjskiego i z zaboru pruskiego. Były to chwile, które chyba i najzimniejszym uczestnikiem wstrząsnęły do głębi. Kobiety błagały poprzez łzy: nie dajcie dzieci! mężczyźni z ogniem w oczach a dłonią zaciśniętą zachęcali: wytrwajcie! Odpowiadano: nie damy się! wytrwamy! cześć wam! niech żyje polski Kraków!

A w okrzykach tych nie było nic pustej deklamacyi. Te chwile trzeba było samemu przeżyć, ażeby zrozumieć, co się działo w duszy witających i witanych. Do piszącego te słowa przytulił się chłopczyna-ślązak z pod Bytomia, drżąc cały ze wzruszenia i szepcąc, że on chyba Krakowa nie będzie mógł opuścić, bo w Krakowie wszystko dyszy polskością. Ten chłopczyna napewno nie zapomni chwili, gdy z balkonu zachęcał Biskup Bandurski członków delegacyi z zaboru pruskiego do wytrwania i udzielał im swego błogosławieństwa. I nie zapomni, jak przeszedłszy Bramę Floryańską, znalazł się na wązkiej ulicy Floryańskiej, jakoby w obozie czy lesie biało-niebieskich sztandarów, poprzez które rwały się tysiące rąk i rwały się tysiące serc i dusz, a głośne, zwarte i niemilknące wołanie zdawało się rozsadzać te stare mury, ponad którymi w dali widniały w słońcu skąpane wieże Maryackie. I nie zapomni ów chłopczyna-ślązak, jak na Rynku składa hołd Paderewskiemu i jak później z niepodległą pieśnią na ustach wchodził na Wawel, a z muru przybocznego witały go przytulone do siebie małe wiochny — jedna witała polnymi kwiatami, a druga perłami łez dziecięcych...

Nie zapomni!

Wielka Rocznica.

W naszem życiu powszedniem, zazwyczaj posępnem i szarem, pełnem odgłosów, wywoływanych przez ból i niedolę — trafiają się jednak niekiedy chwile, które, niby błyskawica, na krótki moment rozświetlają ciemną toń wiszącego nad nami, wiecznie zachmurzonego nieba.

Chwile te — to wielkie rocznice, w których zamknięte są echa zdarzeń doniosłych, zaczerpniętych z naszej świetnej przeszłości.

Witamy je zawsze w gorącem uniesieniu dusz, witamy z zapałem.

Chwytamy pełną piersią te złote promienie wspomnień historycznych, odżywiamy nimi zgnębioną myśl naszą, krzepimy duszę.

Gdy wśród skwaru, jakim nas darzy życie obecne, powszednie, wsłuchamy się w płynące z odległej przeszłości echa, nucące skowrończaną zaiste pieśń o tem, co było — budzi się w nas jakaś wiara wielka, że przecież istotnie nie zamknęła się jeszcze dziejów naszych karta.

Opierając myśl swoją na przeszłości, wierzymy w przyszłość.

Wierzymy, że po dniach walki i smutku — nastanie okres niebiańskiej radości i ukojenia.

Wierzymy!

I nikt nam nie jest zdolen tej wiary odebrać.

Nikt!...

. . . .

Jeszcze nie przebrzmiały echa rocznicy Grunwaldu.

Wielka to Rocznica!

Rocznica, w której ze wspomnieniem bohaterskich zwycięstw oręża polskiego łączy się wspomnienie o rozdzierającej serce Wrześni.

My zwyciężaliśmy hufce pancernych, w stal zakutych rycerzy...

Oni — nad bezbronnymi tryumfy odnoszą...

Rycerze!...

. . . .

A jednak, mimo wszystko — trwamy!

Trwać będziemy!

I nie zmoże nas, pod godło Krzyża tuląca się hydra.

Pochodu naszego ku lepszej przyszłości nie wstrzymają groźby wywłaszczenia, gdyż pamięć dawnego Grunwaldu napełnia nas mocą.

My w to całą siłą dusz naszych — wierzymy!

J. D.

Na polu bitwy.

Zapragnąłem kilka lat temu, zwiedzić pole bitwy pod Grunwaldem.

Po wielu innych, które szczegółowo zwiedziłem już przedtem.

Po Jenie, Lipsku, Waterloo, Solferyno, Sedanie.

Ale i Jena i Lipsk i Waterloo i Solferino i Sedan, leżą na głównych traktach europejskich, a trzy z nich tuż przy liniach szynowych, tymczasem Grunwald a raczej Tannenberg, odsunięty jest od szeroko uczęszczanych dróg, wciśnięty w lasy i pagórki porzucone w mazurską dal. Musiałem więc jechać końmi.

Jechałem gościńcem starannie, jak wszystkie pruskie utrzymanym, krajem równym, jasnym, bezdrzewnym. Jechałem i myślałem.

Myślałem o tem, co się działo u celu podróży mojej, w chwili gdy dwie wielkie siły i dwie sprzeczne zasady, stanęły, że tak powiem, z sobą tam oko w oko, coby się dla całego polskiego świata stało, gdyby ta, która tam wtedy i dziś uosabia prawo, padła skruszona opancerzoną pięścią gwałtu i rozboju... Myślałem...

A tymczasem konie rączo mknęły mi naprzód, krajobrazy jak szkła w kalejdoskopie ustępowały kolejno sobie miejsca.

I kreśliły coraz odmienniejsze figury.

Przybywało drzew, poliste pustkowie ożywiało się chatami i ludzkiemi twarzami, pagórki zaczęły ukazywać się mojemu oku.

Nareszcie otoczyły mnie dokoła.

Nie garbem gór, ale niby falą podnoszącego się i opadającego morza.

Mój przewoźnik milczący dotąd, zwrócił się do mnie.

I zakreśliwszy ręką półkole w powietrzu, odezwał się przyciszonym głosem: Tannenberg.

Byłem więc na miejscu.

Moje dawne marzenia, gdym zwiedzał pobojowiska na zachodzie, zostało urzeczywistnione.

Ujrzałem to, gdzie krew mi blizkich lała się strumieniem, by źródłu naszego życia nie dać wyschnąć.

Ujrzałem je, w całej niezmienności jego przyrodzonej postawy, w przeinaczeniu, jakie powierzchni tej postawy przyniósł czas.

Ale ujrzałem to samo, nie inne, tylko inaczej nieco zabudowane i zadrzewnione, w chwili, gdy rycerstwo nasze, ze sławną pieśnią: Boga Rodzica, Dziewica — rzucało się na odwiecznego wroga.

Tannenberg nie podobny jest do żadnego z pobojowisk wczorajszych dni!

Dlatego, że nie jest pobojowiskiem wczorajszem.

Nie masz tu więc nic z tego, na co spoglądały oczy Jagiełłowych i Witoldowych rycerzy, nic, na czem byłby wyryty ich ślad. Nic — prócz nieba i ziemi...

I gdy i pod Jeną i Lipskiem, i pod Waterloo, Solferino i Sedanem, co krok przypomina ci coś żywo o tem, co się tam w ubiegłym wieku działo, w tem miejscu wszystko darzy cię jak pod Maratonem i Salaminą milczeniem sfinksa i ponurym spokojem grobu.

Czas tu wszystko skończył, zniszczył i zatarł wszystko. Bo miał, jak poeta powiedział, — czas.

Ale nie zatarł wspomień. Te pozostały.

I nie zatarł siły, która wskrzeszając wspomnienia, rozpiera tu każdą polską pierś.

Wspomnienia więc te, cisną ci się tu wciąż do głowy, siła ta unosi pierś ciągle.

Patrzysz w dal, i widzisz te zastępy zbrojne, walczące o prawo do życia, które tu przed wiekami z wrogiem walczyły, wytężasz ucho, słyszysz chrzęst zbroi, łoskot maczug kruszących się o ludzkie piersi, które tu przed wiekami kładły się w grób. Widzisz, słyszysz...

I nie przeszkadza ci to wcale, że całe otoczenie dokoła, nie nosi już cech polskości na sobie, że ten tam na wzniesieniu kamienny niemiecki pomnik, w miejscu, gdzie padł mistrz Krzyżaków, bluźnierczo i kłamliwie głosi, że padł on w obronie prawa, bo czujesz, że pomnik fałsz głosi, gdyż właśnie prawa obrońcami ci tu byli, co wyrugowani dziś przez najezdzcę w części z tych miejsc, z wiarą w odwieczną Sprawiedliwość wyczekują zwycięstwa zasad, wieszczących światu jasne i czyste jutro.

Więc gdy po zwiedzeniu pól bitw innych, opuszczasz je przygnębiony i zbolały, gdyż były ci one prawie wszystkie obrazem szatańskiej pychy i małostkowych rachub duchowych Pigmejów, to, które się grunwaldzkiem nazywa, unosi serce twoje ku górze, gdyż w niem masz symbol wieczny oddawania przez Tytanów życia z odwagą i ochotą za to, co ludzkości jest i zawsze pozostanie najwyższą chlubą i zaszczytem najwyższym.

Stanisław Bełza.

Przeciwnik Jagiełły.

Z ziemi chełmskiej wywodził ród swój pan Krupa; od wsi dziedzicznej Krupe i od zamku, który pobudował, wziął nazwisko, a pieczętował się herbem Korczak, o którym z Paprockiego wiadomo, że z dawnych książąt słowiańskich ma swój początek“ i nie lada kto używa go w sygnecie.

Z takiego to wspaniałego pnia wyrósł ten ród karmazynów, co to nie tylko z szkarłatu, w który miał prawo się odziewać, ale i z krwi zacnej płynącej w jego żyłach, należał do najpierwszych w Polsce, a jednym z jego konarów był właśnie ów pan Krupa, którego imię od pięciu wieków jest u nas głośne z rywalizacyi jego z królem Jagiełłą.

Co było powodem boczenia się pana Krupy na małżonka naszej Jadwigi, o tem historya milczy. Legenda tylko powiada, że pan Krupa czynił wstręty Jagielle przy jego obiorze na króla, oponując zawzięcie, by niedźwiedź litewski nie siadł na tronie polskim. Lecz czy był on stronnikiem Wilhelma, czy sam też może marzył o koronie, co przy znanej dumie dawnych możnowładców nie byłoby wcale dalekiem od prawdy, to otoczone jest tajemnicą, którą napróżno staralibyśmy się odgadnąć.

O przebiegu tej wojny domowej, o której mówi podanie, głucho zupełnie na kartach dziejowych. Snać współcześni nie bardzo brali ją sobie do serca i patrzyli na tę walkę z krotochwilnej strony, skoro żaden z historyków nie poświęcił jej nawet krótkiej wzmianki i tylko przysłowie ludowe i ucinkowy wierszyk przekazały ją pamięci potomnych.

Przysłowie, zapisane u Knapskiego ostrzega każdego, co by o podobnej wojnie zamyślał, „by nie sięgał przez krupy do jagieł“, — a przytoczony poniżej czterowiersz, pochodzący z XVII. wieku, drwi sobie wyraźnie z pyszałka, co chciał krupy na jagłę przemienić:

Król Jagiełło bił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki!
Na co porwał się nieboże?
Krupa Jagłą być nie może.

Wprawdzie w tym wierszu jest mowa o Krzyżakach, a nie o współzawodnictwie pana Krupy z Jagiełłą o pierwszeństwo w Polsce, ale taka licencya jest poetom dozwolona.



Józef Brandt.

Powrót z wyprawy.

Oto i wszystko, co wiemy o panu Krupie i o legendowej jego walce z królem Jagiełłą, walce, w której wyzywający bynajmniej nie był zwycięzcą. Za to potomkowie jego piękniejszą zdobyli sobie sławę. Oto jeden z nich ocalił życie królewiczowi Olbrachtowi, który w bitwie pod Koszycami, otoczony chmarą nieprzyjaciół, postradał miecz własny i gdyby mu w samą porę, tuż obok walczący młody Krupa nie był podał swego oręża, byłby królewicz niechybnie przypłacił głową młodzieńcze junactwo.

Dziś ród ten, ongi tak możny i dumny, od dawna legł w mogile; zamek, pod który kładł podwaliny pan na Krupem rozsypał się w gruzy i tylko skroś wieków, w legendzie o nim brzmi ku dzisiejszym czasom głos przestrogi przed nierówną walką i przed wątpliwem zwycięstwem.

Władysław Bełza.

W jaki sposób powstały nazwiska w Polsce?

Nie możemy dziś wyobrazić sobie człowieka bez nazwiska dziedzicznego, t. j. przechodzącego z ojca na syna w formie niezmienionej. A jednak w Europie nazwiska te upowszechniły się dopiero w XV wieku, a utrwaliły w następnym. Przedtem każdy wymieniał tylko imię chrzestne i miejsce urodzenia. Giedymin miał syna Olgierda, Olgierd Jagiełłę bez łączności nazwiska rodowego. Szlachcic obok imienia wymieniał herb, włość swoją lub zamek. Naruszewicz w „Historyi narodu polskiego“ powiada:

„Starożytni Polacy nazywali się naprzód od herbów, np Ciołek, Jastrzębiec itd., powtóre od wiosek, np. Piotr z Chodźca, Zakliczyna, po trzecie od imion ojcowskich, jak dotąd Rusini, np. Jan Janowic, Witek Bieniewiec, t. j. syn Bieniasza“. U narodów germańskich nazwisko syna tworzono przez dodanie do imienia ojca końcówki sohn, son, sen, u Hiszpanów ez, u Normandów Fitz (na początku) u Irlandczyków O (Or), u Szkotów Mac, u Arabów i Hebrajczyków ben, u nas wicz.

Herb i „zawołanie“ t. j. hasło, zwołujące ród herbowy na wojnę, były więcej dziedzicznemi i u szlachty średniowiecznej zastępowały rodowe nazwisko. Stąd nazwy niektórych herbów stały się nazwami rodów i wielu wsi, które były tych rodów gniazdem i dziedzictwem. Do takich należą: Bogorya, Jastrzębiec, Działosza, Przyrowa, Łada, Dąbrowa, Godziemba, Sulima, Szeliga, Rawicz, Rogała, Dołęga, Doliwa, Cholewa, Skuba, Gerałt, Kossak, Bujno, Kownat, Nieczuja, Radwan, Pomian, Zaręba, Trzaska, Konopka, Grzymała, Tuczyński, Puchała, Bolesta, Odrowąż, Zagłoba i kilkadziesiąt innych. Niektóre nazwiska rodowe potworzyły się z dawnych imion polsko-słowiańskich, ng. Chwalibóg — Wszebor, Sędzimir, Bożym, Bohufał, Włodek, Dzierżek, Gniewosz, Strzębosz, Namiera, Wojsław, Wojno. Obok nazwisk dziedzicznych, wielu miało przydomek lub przezwisko, może starsze od nazwiska i powszechnie przez lud używane. Przezwiskiem jest przezwanie jednego człowieka przez ogół od jakiegoś jego wybitnego przymiotu, wady, cechy, kalectwa, pochodzenia, rzemiosła, dziwactwa, przyzwyczajenia lub ubioru.

Bolesław I z powodu bohaterskiej jego waleczności przezwany był Chrobrym (już tak nazywano go w r. 1120). Bolesława III (jego prawnuka), który od wrzodu miał skrzywione usta, przezwano Krzywoustym. Henryka, księcia śląskiego, z powodu, że nosił brodę, gdy inni Piastowie brody golili, przezwano Brodatym. Bolesław — drugi z kolei syn Krzywoustego był Kędzierzawy. Z dwóch Władysławów jeden był dla wielkiego wzrostu i długich nóg Laskonogi, a drugi małej postaci, przezwany został Łokietkiem.

Przezwiska dawano w Polsce zarówno książętom, jak dygnitarzom, szlachcie, kmieciom i najuboższym pachołkom. Dla tych, którzy nie mieli herbów ani dziedzicznej ziemi, przezwiska były potrzebą praktyczną życia codziennego, a w czasach, w których zwyczaj ogólny zastępował prawo, nic dziwnego, że przezwiska ludzi zapisywano w urzędowych dokumentach, jako ich nazwiska. Najstarsze podobne nazwy z dokumentów polskich XI, XII i XIII wieku są: Babka, Baron, Brzestek, (r. 1125), Bacz, Biały, Broda, Brzuchaty, Byczek, Białowąs (1136), Czarny, Cierpisz, Czarnota, Dąbek, Górka, Gąska, Graza, Gęś, Jajko, Jęzor, Kaczka, Kołomas, Kwasek, Kwiatek, Kwiecik, Kłobuczek, Kłos, obyłka, omor, ołacz, (chłop książęcy), rak, Koehan, Kramoła, Krasek, Krzykała, Kędziera, Masło, Niedźwiedź, Myszka, Milej, Męka, Odolan, Opoka, Osina, Patoka, Piwonia, Piskorz, Podwała, Polanin, Poniat, Pirwosz, Pomian, Pękawka, Rak, Rozdział, Ratej, Rożek, Swojsa, Sinoch, Smił, Smogor, Sokół, Silca, Stróż, Targosza, Wilczek, Wgląda, Wilczęta, Wojno, Warga, Wierzbięta, Wyszetrop, Żałoba, Żelazo, Żerucha, Żwan, Żuk, Zabor, Zabrat, Zając, Zajączek, Zajączko, Zator, Żyz.



W parku w lipcu.

Przy niektórych nazwach położone są imiona, co wskazuje, że nazwy te mogły już być dziedzicznemi lub służyć wspólnie braciom, np.: Paweł Górka (1243), Stanisław Kopyto (1243), Jakób Korytko (1246), Sulisław Mądry (1249), Świętosław Opor (1295), Jan Osina (1250), Otton Prawota (1219), Jakób Rudek (1271), Władysław Sędziwój (1209), Jan Woda (1250), Piotr zwany Wścieklica, Radwan Ząb.

Innych zapisano z nazwy lub imienia ojca, np. Paweł Stupopowicz (1247), Andrzej Sułkowicz, Dobiesław Sędowicz, Piotr Włostowicz (1200). Długosz dodaje, że w Polsce, za czasów Władysława Jagiełły nastał zwyczaj tworzenia nazwisk od posiadłości tj. przez dodanie końcówki przymiotnikowej ski lub cki. Zwyczaj ten upowszechnił się w drugiej połowie XV wieku, najprzód u średniej szlachty, bo panowie pisali się jeszcze po staremu: Łukasz z Górki, Jan na Tęczynie itp. Nazwiska atoli na ski i cki tworzone już w XV wieku z nazwy wsi rodzinnej lub dziedzicznej, były z początku o tyle tylko sukcesyjne, o ile syn dziedziczył po ojcu tę samą wioskę, z której powstało nazwisko. Jeżeli zaś osiadł w innej, to i nazwisko nowe mu dawano, a ta zdarzało się, że każdy w innej wsi zamieszkały synowie i ojciec innych używali nazwisk.

Przykład podobny mamy na kronikarzu Marcinie Bielskim (ur. 1495) zm. 1575, pierwszym, który pisał dzieje powszechne po polsku. Po ojcu Marcin nazywał się Wolski, od wsi Woli, ale gdy osiadł we wsi Biała, został Bielskim, a syn jego Joachim już zatrzymał to nazwisko ojcowskie. — Paprocki w swoim herbarzu powiada, że gdy Bartosz Remar kupił wieś Wilkowice, synowie jego zostali Wilkowskimi.



Samotnik.

Siła przesądu.

„Krew to sok niepowszedni“, mówi Mefistofeles Goethego do Fausta, żądając od niego krwi z serdecznego palca do podpisania cyrografu. Poeta temi słowy określa odwieczne pojęcia ludów całego świata o nadzwyczajnych własnościach krwi. Pojęcia te przechowują się stale nietylko u ludów dzikich, ale także wśród ciemnych mas narodów europejskich. Według nich, krew posiada moc czarodziejską, działa najrozmaiciej; używano też ją do rozmaitych praktyk zabobonnych, guślarskich, często ohydnych. Wiara w nadzwyczajne własności krwi wywołała najrozmaitsze zwyczaje i obrzędy. Starożytni uważali krew za siedlisko duszy i życia. Jako taka, krew oczyszczała winowajcę z przestępstw. W kulcie Mitry, przestępca pokropiony krwią, zostawał rozgrzeszony z win. Krew istot niewinnych miała specyalną, o wiele skuteczniejszą moc, a ten przesąd pocią-



ZALECANKI.

gnął za sobą ofiary z dzieci. Krwią podpisywano umowy o duszę z dyabłem, przysięgano na krew, zmieszaniem krwi, wytoczonej z dłoni dwóch ludzi i wypiciem tej mieszaniny, stwierdzano zawarcie nierozerwalnego braterstwa. Krwią ludzką żywić się mają Upiory, Strzygi i Zmory. Krew stanowiła ofiarę przebłagalną...

W lecznictwie dawnem krew poczytywano za jeden z poważnych leków. Krew istot niewinnych leczyła ciężkie choroby, nawet trąd. W starożytnym Rzymie ciepłą krew ludzką uważano za niezawodny środek przeciw epilepsyom, dlatego umierającym gladyatorom wysysano krew z ran.

Odwieczny przesąd o własności odżywczej krwi utrzymuje się jeszcze w pewnych okolicach prowincyi włoskiej Como, leżącej w Lombardyi, otoczonej szwajcarskim kantonem Tesyńskim oraz departamentami włoskiemi: Sandrio, Bergamo, Novara i Medyolan. Prześliczny to kraj, gęsto zaludniony, urodzajny, doskonale nawodniony, produkujący: zboże, wino, owoce, jedwab, papier, wapień, marmur i żelazo. W kraju tym nietylko chorzy, ale i zdrowi zbierają się w rzeźniach i piją na wzmocnienie ciepłą krew bydlęcą. Niektórzy amatorzy wychylają po 4 do 5 kubków tego płynu.

Jak należy obchodzić się z zegarkiem?

Jednym z najdelikatniejszych przedmiotów codziennego użytku jest zegarek kieszonkowy, wymagający umiejętnego obchodzenia się z nim. Przeważnie jednak zapomina się o tem i stąd pochodzi, że jednym zegarki spieszą, innym spóźniają się, przestają chodzić bez żadnej na pozór przyczyny — jednem słowem sprawiają właścicielom przykrość i narażają ich na znaczne koszta naprawy. Zegarmistrze słyną bowiem ze słonych rachunków. Warto więc może przypomnieć tu, jak właściwie należy się obchodzić z zegarkiem.

A więc przedewszystkiem kiedy należy go nakręcać? Bezwarunkowo z rana i to dla prostej bardzo przyczyny. Siłą poruszającą mechanizm zegarkowy jest sprężyna, czyli wstążka stalowa bardzo elastyczna, zahartowana i starannie zwinięta w 11 do 13 zwojów, zawartych w ciasnej przestrzeni, jakby w pudełeczku okrągłem. Sprężyna skręcona jest w stanie napięcia i rozwijając się, wykonywa pracę, która niestety, nie jest stale równomierną. Z początku jest największa i słabnie aż do zera w miarę, jak sprężyna się rozwija. Z tego względu nakręcając zegarek zrana, zużytkowujemy w ciągu dnia tę część pracy sprężyny, która odpowiada regularniejszemu ruchowi całego mechanizmu. W nocy, kiedy zegarek leży spokojnie i nie ulega żadnym wstrząśnieniom, siła poruszająca może być nieco mniejsza.

Gdy zegarek wyjmujemy z kieszonki, to temperatura środowiska, w którem się on znajduje, prawie zawsze jest niższa od temperatury kieszeni; jeżeli więc nakręcamy zegarek w chwili nagłego oziębienia, to sprężyna na razie zupełnie sztywna nie będzie się mogła skurczyć i pęknie. Niebezpieczeństwa tego unikamy, nakręcając zegarek zrana, zanim go włożymy do kieszonki: przechodzi on bowiem z temperatury chłodnej do cieplejszej temperatury kieszeni. Zegarek średnio chodzi od 30—40 godzin; jeżeli zapomnimy go nakręcić wieczorem, to stanie w nocy; jeżeli zaś mamy zwyczaj go nakręcać zrana i uchybimy raz temu zwyczajowi, to zgarek zatrzyma się w ciągu dnia i wtedy nierównie łatwiej niż w nocy, można będzie temu zaradzić.

Nadmienić jeszcze wypada, że zupełnie błędne jest mniemanie, jakoby się zegarek mniej niszczył, jeżeli np. wypoczywa cały tydzień, a nakręcany bywa tylko w niedzielę. Przeciwnie, gdy się go nie używa, oliwa na ośkach powoli się zgęszcza, zegarek chodzi coraz gorzej i nareszcie zupełnie staje.

Ale czy w ten czy w ów sposób bywa nakręcany, zegarek zawsze ulega wpływowi swego położenia: w pionowem zawsze się nieco spóźnia, z powodu zwiększowego tarcia, gdy w położeniu leżącem, gdzie waga mechanizmu nie odgrywa roli, tarcie jest dużo mniejsze — zegarek się zatem śpieszy. W egzemplarzach precyzyjnych uchybienia te są przewidziane i wyrównują się, ale zmiany położenia dokonywane są w ściśle oznaczonym czasie, co w życiu codziennem jest wprost niemożliwe. Dlatego też najlepiej, gdy zegarkowi nadajemy stale położenie pionowe. Jeżeli mimo to spieszy, lub spóźnia się równomiernie, to zegarmistrz zlekka posunie igiełkę wewnętrzną aby otrzymać czas pośredni, czyli właściwy. Zegarek zawieszony na ścianie musi koniecznie być oparty na czemś; inaczej będzie wprawiony w ruch wahadłowy, który jest szkodliwy.

Czy zegarek należy nosić w górnej, czy w dolnej kieszeni kamizelki? Na pytanie to odpowiedź jest nieco trudna. W dolnej zegarek mniej jest narażony na wstrząśnienia skutkiem ruchów ciała, ale przy podnoszeniu ciężarów, zwłaszcza przyciskając je do siebie, możemy zegarek uderzyć, a nawet zgnieść. Na piersiach nie będzie narażony na uderzenia, ale za to wystawiony będzie na skutki każdego poruszenia. Panie, noszące zegarek przypięty, utrzymują go naturalnie stale w położeniu pionowem ale wystawiają go z konieczności na uderzenia i wstrząśnienia.

Zegarek powinien być zabezpieczony od kurzu, zmian temperatury, wilgoci i magnetyzacyi.

Otwierać powinien go tylko zegarmistrz; najdrobniejszy pyłek, który się dostanie do wnętrza, może spowodować zatrzymanie. Kieszonka, w której się nosi zegarek, musi być utrzymana w największej czystości; należy je często odwracać i czyścić szczotką, a to dlatego, że mikroskopijne ni-



Z czasów Nerona.

teczki oddzielające się czasem od każdego materyału, przedostaje się koniec końców do mechanizmu, mimo najszczelniejszego zamknięcia. To przenikanie najwyraźniej się spostrzega, gdy właściciel zegarka przy zajęciu zawodowem z konieczności narażać się musi na kurz, jak budowniczy, inżynier lub sportowiec. Unikać też należy noszenia w tej samej kieszeni innych przedmiotów, które mogą rysować kopertę lub szkło zegarka.

Mylą się również ci, którzy przypuszczają, że zegarek znosi równie dobrze bardzo wysoką, jak i bardzo niską temperaturę. Niebezpiecznie jest kłaść go na kamieniu lub marmurze, wyjąwszy go z kieszeni. Taka raptowna zmiana temperatury nietylko wpływa szkodliwie na ruch zegarka, ale może też sprowadzić pęknięcie sprężyny lub szkiełka. Najlepiej jest umieszczać zegarek na noc na specyalnym postumenciku, wyklejonym grubem suknem, które będąc złym przewodnikiem ciepła, nie dopuści raptownego ochłodzenia.

Mechanizm zegarka przeważnie składa się z części stalowych, które bardzo łatwo rdzewieją pod wpływem wilgoci w najrozmaitszej formie. Jeżeli więc naturalnie przypadkowo, zegarek dostanie się do wody lub jakiegobądź płynu, należy go czemprędzej oddać do zegarmistrza. Tylko szybkie przeciwdziałanie rdzewieniu może go ocalić. Rzecz prosta, że każda chwila spóźnienia podnosi koszta reperacyi. Woda morska i kwasy oczywiście szkodliwsze są od wody czystej. Para dostaje się zawsze do wnętrza, pomimo wszelkich usiłowań fabrykanta względem hermetycznego zamknięcia kopert.

Zegarmistrz nie powinien otwierać zegarka, przyniesionego prosto z zimna, dopóki się nie ogrzeje; inaczej utworzy się w mechanizmie wilgotne skraplanie.

Wreszcie wszystkie wogóle maszyny elektryczne są strefą magnetyczną, której siła zależy od siły prądu i konstrukcyi danej maszyny. Zegarek w tej strefie może więc uledz magnetyzacyi a co zatem idzie, wahaniom, nawet zupełnemu zatrzymaniu. Dlatego też bezpieczniej jest odłożyć zegarek, zanim się właściciel jego zbliży do dynamomaszyny, o ile nie jest w posiadaniu takiego, który specyalnie do takiego użytku jest przeznaczony. Zastosowanie się do powyżej przytoczonych rad uchroni zegarek od szybkiego zużycia, a posiadacza uchroni od zbyt częstego uciekania się do pomocy zegarmistrza.

KINEFOT.

Do bardzo obecnie rozpowszechnionych rozrywek należy kinematograf. Jest to przyrząd optyczny, zbudowany przez braci Lumière w Paryżu, który sprowadza przed oczy widza szereg rzuconych na ekran i szybko przesuwających się obrazów przedmiotu, pozostającego w ruchu, skąd widz ulega złudzeniu, jakby dostrzegał sam przedmiot w ruchu.

Kinematograf należy do kategoryi przyrządów, polegających na tej zasadzie, że siatkówka oka zatrzymuje wywarte na nią wrażenia przez czas pewien, wynoszący około $^1/_{10}$ sekundy. Gdy więc przed okięm przesuwają się fotografie danego przedmiotu, otrzymane kolejno podczas jego ruchu i gdy przerwa pomiędzy dwoma następującemi po sobie obrazami nie dochodzi $^1/_{10}$ sekundy, wrażenie wywarte przez obraz jeden trwa jeszcze w chwili, gdy nasuwa się obraz następny, a oko dostrzega przedmiot w ruchu.

W konstrukcyi braci Lumière kinematograf przedstawia tę dogodność, że nietylko rzuca na ekran obrazy fotografii już gotowych, ale jest zarazem przyrządem fotograficznym, który fotografie te chwyta na wstęgę celuloidową, mającą zwykle 15 metrów długości, a 3 cm. szerokości; w ciągu jednej sekundy przyrząd daje 15 zdjęć fotograficznych, a na całej wstędze liczba zdjęć wynosi 900, co odpowiada scenie, trwającej minutę. Gdyby przesuwanie wstęgi dokonywało się w sposób ciągły, obrazy kolejne zachodziłyby częściowo jedne na drugie, a wrażenie byłoby zamącone; przesuwanie zatem wstęgi jest przerywane tak, że każdy obraz, otrzymany w ciągu $^1/_{15}$ sekundy, przesuwa się tylko w ciągu $^1/_{45}$ sekundy, a przez pozostałe $^2/_{45}$ utrzymuje się nieruchomo.

Zachodzi tu wszakże inna jeszcze trudność. Gdyby fotografie oświetlane były ciągle, zarówno podczas ich przesuwania, jak i zatrzymywania, na ekranie występowałyby smugi świetlne; wynalazcy więc usunęli tę przeszkodę, wprowadzając przegrodę, która zatrzymuje światło w tym czasie, gdy wstęga się przesuwa, a przepuszcza je tylko podczas zatrzymywania wstęgi. Obrót przegrody jest tak szybki, że oko wcale nie dostrzega przerwy światła, podobnie jak nie dostrzega przerwy w przesuwaniu wstęgi.

Kinemategraf nietylko stanowi przedmiot zabawy, ale nadaje się też do badań naukowych, służyć bowiem może do dokładnej analizy zjawiska szybko przebiegającego, gdy oddzielne jego pory zwolna jedne po drugich nasuwamy; nawzajem też skupić możemy w szybkim przebiegu pory zjawiska, dokonywującego się w długim przeciągu czasu. Obrazy, rzucane przez kinematograf, sprawiają rzeczywiście wrażenie ciągłości. Psuje je wszakże pewne migotanie, którego dotąd zupełnie usunąć nie zdołano.

Zdjęcia obrazów ruchomych, kinematograficzne, połączone są z trudnościami, wymagają kosztownego materyału, drobiazgów manipulacyi, specyalnego urządzenia, a to wszystko czyniło je dostępnymi tylko dla uzdolnionych zawodowców. Obecnie pewna firma paryska udostępniła je dla szerszych kół, przygotowując aparat, zwany kinefotem. Używać go może każdy amator. Przyrząd ten nie nadaje się do zdejmowania scen zbiorowych, dłużej trwających — ma zakres ograniczony znacznie: można przy jego pomocy otrzymywać fotografie ruchome jednej lub dwóch osób. Składa się z dwóch aparatów: jeden dokonywa zdjęć, a drugi szereg zdjęć rzuca na ekran. Obydwa mają wygląd zwykłego aparatu fotograficznego. Zdjęcia dokonywują się albo z zastosowaniem przyrządu automatycznego, który oddziela kolejne momenty błyskawicznemi przerwami, albo z zastosowaniem korby. Okienko, umieszczone w przedniej części aparatu, pozwala sprawdzić, czy zdjęcia wyszły dobrze. Za pomocą przyrządu automatycznego otrzymuje się 75 zdjęć; stosując korbę, otrzymujemy zdjęć 24.

Nasze ilustracye.

Powrót z wyprawy, piękny obraz sławnego malarza polskiego Józefa Brandta, przywodzi nam przed oczy jedną z wielu chwil naszej rycerskiej przeszłości, pełnej chwały. Rozhowor tu wielki. Waleczni z pola walki, gdzie zasłużyli się dobrze Ojczyźnie, nie szczędząc krwi własnej i wroga, wracają w pospiechu do ognisk domowych, gdzie z radością oczekują ich żony i matki, brać i dziatwa. — **W parku w lipcu**, to sielanka: Drzewa, bujne krzewy, jezioro, łódź, a w łodzi dziewoja zapraszająca przyjaciółkę do wesołej przejażdżki po wodzie. — **Samotnik**, to znowu przeciwstawienie do uciech życiowych. Zakonnik z swej celi skromnej spogląda w niebiosa i myślą unosi się do Pana nad Pany. Obce są mu uciechy życiowe i pustota, jakie widzimy w następnym obrazku p. n. **Zalecanki**, gdzie młodzi, jak to zwyczajnie młodzi, „oczkują" i niebawem zaczną zbytkować. — Ostatni wreszcie obrazek przenosi nas w czasy chylącego się do upadku Rzymu, **do czasów Nerona**, kiedy to cały Rzym tonął w rozpuście i szalał żądzą użycia.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Ślepa babka.

Ucieszny waryant znanej gry dziecinnej może stanowić następująca zabawa: towarzystwo robi wielkie koło, w której osoba, mająca oczy zawiązane chustką, staje z kijem w ręku. Koło kręci się i zatrzymuje co chwila, osoba zaś w kole kij trzyma do góry. Nagle opuszcza go i wskazuje nim jedną z osób koła, która to osoba kij chwyta za koniec. Teraz ślepa babka wydaje z siebie trzy dźwięki, a osoba, trzymająca kij, winna te dźwięki trzykrotnie naśladować. Jeżeli babka pozna, kto ją naśladuje, to znany płaci karę i zastępuje jej miejsce. Jeżeli nie pozna, to pozostaje w kole i zabawa odbywa się dalej, jak poprzednio.

Klapsy.

Grający stają kołem i obiema rękami trzymają za sznurek. Osoba w kole stara się dać klapsa komukolwiek; trafiony zastępuje ją w kole.

Ten, kto ma dostać klapsa, może wypuścić sznurek, ale winien go zaraz pochwycić. Uważnie śledząc ruchy bijącego, można śmiało trzymać sznurek, dopóki bijący nie zacznie opuszczać swej ręki; zawsze będzie dość czasu do podniesienia rąk w górę.

Uderzenie jest wtedy tylko prawidłowe, gdy trafiona ręka trzyma sznurek. Każde inne uchodzi za nadużycie.

Ogrodnik i ogrodniczka.

Koło. Kierownik gry rozdaje godności: jednego z panów mianuje ogrodnikiem, jedną z pań ogrodniczką; jednego z panów parobkiem, jedną z pań — dziewką. Wszystkie osoby pozostałe otrzymują nazwy kwiatów. Do ogrodnika i ogrodniczki mówi się pan i pani, do parobka i dziewki mówi się Jan i Magda, do kwiatów — ty. Teraz gra rozpoczyna się w ten sposób:

Kierownik. Byłem w ogrodzie dla obejrzenia kwiatów, ale mego parobka Jana nie zastałem.

Parobek. Pan się myli.

Kierownik. Gdzież Jan był tedy?

Parobek. Byłem u Magdy.

Magda. To nieprawda!

Parobek. A gdzie Magda była?

Magda. Byłam u róży.

Róża. To nieprawda!

Magda. Więc gdzie byłaś?

Róża. Byłam u pani ogrodniczki.

Ogrodniczka. Kłamiesz!

Róża. Gdzież pani była? i t. d.

Każdy z grających, który zada pytanie w sposób niewłaściwy, myląc się co do „pan“, „pani“ i „ty“, „Jan“ i „Magda“ — daje fant. Fant daje także ten, kto nie wymieni odpowiedniej nazwy kwiatu. Ponieważ odpowiedzi muszą następować bardzo szybko, wynika stąd przeto mnóstwo pomyłek, które pobudzają obecnych do szczerego śmiechu.

Sąsiad.

Koło. Kierownik staje w środku i zwraca się do jednego z obecnych z pytaniem: „Jak się panu podoba sąsiadka?“ Zagadnięty odpowiada twierdząco — i w takim razie pytania idą dalej, lub przecząco — w tym razie musi sobie obrać inne sąsiedztwo. Ogólna zmiana miejsc. Kto pozostaje bez miejsc, płaci karę i zastępuje kierownika, który usiadł także.

Towarzystwo może nie robić od razu pospolitego ruszenia, lecz zagadnięty może wyraźnie wskazać, kogo chce mieć za sąsiadkę, a przy zmianie miejsc osoba stojąca w kole uprzedza te, które się przesiąść mają, i tym sposobem jedna z tych osób zostaje bez miejsca.

Naturalnie krzeseł musi być mniej o jedno, niż osób, biorących udział w tej wesołej zabawie.

Łamigłówki.

Arytmogryf.

1 2 3 4 5 6 7 8	Poeta polski
2 3 1 3 1	Ryba
3 7 3	Organ wzroku
4 8 1 2 5	Rzeka w Polsce
5 1	Figura w kartach
6 2 3	Opłata
7 5 4 5	Napój
8	Samogłoska.

Cyfry zastąpić należy literami. Rząd pierwszy i litery początkowe tworzą nazwisko poety polskiego.

Szarada.

Mam dwie sylaby — w nich cztery litery,
Zaś każda zgłoska też literę znaczy;
Chowa się we mnie listy i papiery,
Odgadnie łatwo, kto pomyśleć raczy.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 28. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 32.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 27.:

Logogryf.

ALEKSANDER ORŁOWSKI — STANISŁAW JACHOWICZ

A . . . . **S**
L . azare . . **T**
E . lżbiet . . **A**
K . apła . . . **N**
S . obiesk . **I**
A . nana . . **S**
N . abia . . . **Ł**
D . ian . . . **A**
E . za . . . . **W**
R . a. . . . . **J**
O . az . . . . **A**
R . óżanie . . **C**
Ł . ańcuc . . **H**
O . k. . . . . **O**
W . rocła . . **W**
S . ank . . . **I**
K . lo . . . . **C**
I . wonic . . **Z**

Zadanie rachunkowe.

Za 10 lat.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Juliusz Bogusz, Michał Chciuk, Marya Chciukówna, Czytelnia Robotników Salinarnych w Wieliczce, M. Dręgowska, Marya Dunicz, Zygmunt Gaudnik, Stanisław Holdermayer, Helena Jaroszówna, Franciszek Kądziela, Ignacy Kędzierski, Józefa Ketzinówna, Maryan Koczwara, Karol Kowalski, Romuald Kulczycki, Józef Majgier, Helena Myconiówna, R. Niemiec, Tadeusz Nodzyński, K. Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Józef Pieszczoch, Wanda Rostkówna, Stanisław Sierosławski, J. Steindl, Piotr Stolarzewicz, A. Świerkosz, Jadwiga Szantowska, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Stanisław Szostak, W. Tarnowska, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, T. Weseli, Zdz. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Stanisława Balcerska, „Błędne koło“, Tomasz Cichowski, Stefania Dużyńska, Marya Filisiewiczówna, Kasper Grzomba, Józef Janas, „Janek z pod Góry Przemysława“, Mieczysława Jarmuż, Maryan Jancz, Zofia Janowska, Anna Jordanówna, K. Kaczmarkiewicz, (p. K. rozwiązał również łamigłówki z nr. 24.), Dominika Kasyna, Kornelia Kempa, Fr. Kempski, Karol Kołodziejczyk, Józef Kostro, Z. Krajewski,, A Kujawski, Leszek Kwieciński, Antoni Mikołajczak, Felicya Nawrocka, Marya Nowakowska, A. Paczyńska, J. Piechocka,- Stanisław Pietrzak, Ludwika Polaszyk, Piotr Promiński, Gabryel Rącoszek, Jania Smodlibowska, Zofia Stachowska, Zofia Starkówna, Tadeusz Węclewicz, Wikcia Wendorff, Marta Wittówna, B. Zieliński.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Zofia Skrzypczak z Bremeny, Emilia Świątkowska z Monachium, Ludwik Szymanowski z Kray (Nadrenia), Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

pp. Juliusz Bogusz (Mszana Dolna), Fr. Kempski (Kruświca), Wanda Rostkówna (Hermancin p. Żółtańce), Emilia Świątkowska (Monachium).

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Skarb ten stanowił pewnego rodzaju gwarancyę dla kredytu; teraz więc trudniej im było o pożyczkę, a wierzyciele podnieśli swoje wymagania.

Zmuszeni byli żyć z kapitału, sprzedawać częściowo swe posiadłości, hypotekować. Jednem słowem groziła im ruina zupełna, lecz dwie znaczne sukcesye odziedziczone po dalekich krewnych, uratowały położenie.

Duma ich cierpiała srodze, jak gdyby utracili dawność swego szlachectwa. Rzecz dziwna, hrabina powzięła urazę dla swej byłej koleżanki. Oskarżała ją otwarcie. Najpierw przeniesiono ją na piętro, gdzie się mieściła służba, a wkrótce potem pożegnano zupełnie.

Życie popłynęło cicho, bez ważniejszych wypadków. Podróżowali i to dużo.

W ciągu tego czasu zasługuje na wspomnienie jeden fakt osobliwy.

W kilka miesięcy po wyjeździe Henryki, hrabina otrzymała od niej list, który ją zdumiał niewymownie:

Szanowna Pani!

„Nie wiem, jak mam Pani dziękować... przecież otrzymałam to chyba od Pani. Nikt inny nie wie, gdzie się ukryłam. Jeżeli się mylę, przebacz mi Pani i przyjmij wyrazy prawdziwej wdzięczności za wszystkie łaski wyświadczone poprzednio".

Co to znaczyło? Łaski hrabiny przeszłe i teraźniejsze sprowadzały się do wielu niesprawiedliwości. Za co Henryka dziękowała?

Zapytana o znaczenie listu odpisała, że w zwykłym liście przysłano jej dwa banknoty po tysiąc franków każdy; koperta nosiła stempel paryski. Pismo na adresie było zmienione.

Z jakiego źródła pochodziły te pieniądze? Kto je przysłał i dlaczego? Zwrócono się do policyi. Lecz jak odnaleźć ślady wśród labiryntu ciągłych niespodzianek?

Ten sam fakt powtarzał się co rok, w przeciągu lat sześciu z tą różnicą, że w ostatnich dwu latach sumę podwojono.

Pozwoliło to Henryce, która w tym czasie zapadła na zdrowiu, zapewnić sobie niezbędne wygody.

Jeszcze jeden szczegół: administracya pocztowa przejęła jeden z listów pod pretekstem, że nie był polecony; — dwa ostatnie więc listy zostały wyekspedyowane stosownie do regulaminu, pierwszy z Saint-Germain, drugi z Suresnes, ekspedytor podpisał się za pierwszym razem Anquety, za drugim Péchard. Oba adresy podane były fałszywie.

Po sześciu latach Henryka umarła. Tajemnica pozostała niewyjaśnioną.

* * *

Wszystkie te wypadki dobrze są znane szerszemu ogółowi. Sprawa roznamiętniła opinię publiczną. Los dziwną rolę przeznaczył temu naszyjnikowi.

Nie dosyć, że w końcu XVIII-go wieku poruszył całą Francyę, dziś jeszcze, po stu latach, wywołał tyle wrzawy. O tem, co powiem teraz, nie wie nikt, z wyjątkiem osób zainteresowanych i kilku przyjaciół, którym się hrabia zwierzył pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy. Możliwe jednak, że dziś lub jutro ktokolwiek z nich złamie słowo. Wobec tego, bez cienia skrupułu, zrywam zasłonę. Równocześnie z kluczem zagadki ogół otrzyma wyjaśnienie listu, który przedwczoraj podały dzienniki. List ten niezwykły, głębszym jeszcze cieniem przysłonił tajemniczy dramat.

Było to pięć dni temu. W liczbie gości zaproszonych na śniadanie do państwa de Dreux-Soubise, znajdowała się ich kuzynka, dwie siostrzenice, prezes d'Essainville, deputowany Bochas, Signor Floriani — znajomość hrabiego z Sycylii — wreszcie generał markiz de Rouvières, stary znajomy z klubu.

Po deserze podano czarną kawę, panom pozwolono zapalić papierosa, z warunkiem, żeby nie opuszczali salonu. Rozmawiano. — Jedna z młodych panien stawiała kabałę, przepowiadając przyszłość. Potem mówiono o słynnych zbrodniach. Przy tej sposobności pan de Rouvières, który nigdy nie ominął sposobności dokuczenia hrabiemu, przypominał sprawę naszyjnika. Dla pana de Dreux był to zawsze temat bardzo przykry.

Każdy wypowiadał swoje zdanie. Każdy rozpoczynał dochodzenie według swego widzimisię. Naturalnie wszystkie hypotezy były ze sobą w sprzeczności, wszystkie równie bezpodstawne.

— A pan co o tem sądzi? — zapytała hrabina, zwracając się do Floriani'ego.

— O, proszę pani, nie mam żadnego zdania. — Powstał jeden okrzyk protestu. Przed chwilą

właśnie kawaler żywo i barwnie opowiadał o różnych sprawach, w których brał czynny udział wraz ze swym ojcem, urzędnikiem w Palermo. Miał więc sąd wyrobiony i znajomość rzeczy.

— Przyznaję — rzekł — iż mi się udawało nieraz rozwikłać zagadki, wobec których cofali się najzdolniejsi. Lecz to nie powód jeszcze, by mię poczytywać za Sherloka Holmesa... Zresztą mam zaledwie niejasne pojęcie, o co idzie.

Zwrócono się do gospodarza domu. Aczkolwiek niechętnie, musiał w skróceniu przytoczyć fakty. Floriani słuchał zamyślony, postawił kilka pytań, wreszcie rzucił:

— Zabawne... na pierwszy rzut oka sprawa nie wydaje się tak trudną do rozwiązania.

Hrabia wzruszył ramionami. Wszyscy inni otoczyli Sycylijczyka, który mówił dalej, tonem nieco dogmatycznym.

— Zasada ogólna jest ta, że, chcąc dotrzeć do autora zbrodni lub kradzieży, należy określić, w jaki sposób zbrodnia lub kradzież zostały spełnione — albo przynajmniej w jaki sposób mogły być spełnione. Wdanym wypadku rzecz — mojem zdaniem — przedstawia się niesłychanie jasno. Stoimy bowiem nie wobec szeregu licznych przypuszczeń, lecz wobec jednej, jedynej, koniecznej pewności, którą sformułować można w ten sposób: Złodziej mógł się zakraść albo przez drzwi pokoju, albo przez okno od alkowy. Otóż zaryglowanych drzwi otworzyć od zewnątrz nie można. Zatem wszedł przez okno.

— Okno było zamknięte — i znaleźliśmy je zamknięte — oświadczył ostro pan de Dreux.

— W tym celu — ciągnął Floriani nie podnosząc uwagi gospodarza — musiał tylko zawiesić jako most deskę lub drabinę — między balkonem kuchni, a gzymsem okna i skoro tylko szkatułka...

— Powtarzam panu, że okno było zamknięte! — przerwał zniecierpliwiony hrabia.

Tym razem Floriani zmuszony był odpowiedzieć.

Uczynił to z największym spokojem, jak człowiek, którego tak lekki zarzut z obranej drogi myślowej sprowadzić nie zdoła.

— Chcę wierzyć, że istotnie było zamknięte... Czyż jednak niema lufcika!

—. Zkąd pan wiesz o tem?

— Po pierwsze, jest to zasada ogólna we wszystkich pałacach z owej epoki. Powtóre: musi tak być, w przeciwnym razie bowiem kradzież by się wytłomaczyć nie dała.

— Istotnie, lufcik jest, lecz był zamknięty, podobnie jak całe okno. Zresztą na ten szczególik nikt uwagi nie zwrócił.

— Niesłusznie. Gdyby bowiem uwagę zwrócono, okazałoby się, że był otwarty.

— Jakim sposobem?

— Przypuszczam, że podobnie jak wszystkie lufciki, otwiera się za pomocą drucianej plecionki, u dołu opatrzonej kółkiem?

— Tak.

— Dalej, że kółko to zwieszało się między oknem a kufrem?

— Tak — nie rozumiem jednak...

— Słuchaj pan! przez szparę w szybie można było przy pomocy jakiegokolwiek narzędzia — dajmy na to drutu opatrzonego haczykiem, uchwycić za kółko, podnieść je i otworzyć lufcik.

Hrabia szydził.

— Doskonale! Wybornie!.. Tłómaczysz pan wszystko z nadzwyczajną łatwością! O jednem tylko zapominasz, mianowicie, że żadnej szpary w szybie nie było.

— Była napewno.

— Dajże pan pokój, ktoś byłby ją przecież zobaczył!

— Ażeby coś zobaczyć, trzeba patrzeć... a tu nikt nie patrzył; szpara jest... absolutnie rzecz niemożliwa, aby jej nie było... idzie wzdłuż szyby, obok kitu... oczywiście w kierunku pionowym.

Hrabia powstał. Był bardzo podniecony, zdenerwowany.

Dużemi krokami przeszedł się parę razy po salonie, wreszcie, zbliżając się do Floriani'ego, rzekł:

— Od tego dnia nic się tam nie zmieniło. Do alkowy nie wchodził nikt.

— W takim razie możesz pan się przekonać, że tłómaczenie moje zgadza się z rzeczywistością.

— Nie zgadza się z żadnym z faktów, ustalonych przez Sprawiedliwość. Pan nie widziałeś nic, nie wiesz nic, a idziesz wbrew wszystkiemu, co widzieliśmy i co wiemy.

Floriani zdawał się nie spostrzegać rozdrażnienia hrabiego. Odpowiedział z uśmiechem:

— Mój Boże, staram się patrzeć jasno — oto wszystko. Jeżeli się mylę, przekonaj mnie pan dowodami.

— Nie zwlekając ani chwili, wyznać muszę, że pewność pańska wogóle...

Pan de Dreux mruknął jeszcze coś niewyraźnego, poczem skierował się ku drzwiom i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 30

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Były to nowe konie, dwie klacze kasztanowate, kupione w Górowie. Ludzie się na nie oglądali, szły jak lalki, więc się Andrzej udobruchał i siadł do powozu.

— Pojedziemy na Erywańską! — rzekł.

Stangręt już wiedział, że to znaczyło kilkogodzinne czekanie pod bramą, poczem wieczorną wycieczkę za miasto. Klął w duchu swój los.

Pani Celina nie przyjmowała dziś nikogo. Czekała Andrzeja, na pozór spokojna, drżąc wewnątrz niepokojem. Przywitała go serdecznie, wesoło, niczem się nie zdradzając, i zaraz rozpoczęła rozmowę o wypadkach parodniowej jego nieobecności, zdając sprawę ze swych czynów i myśli.

Były z Bellą w teatrzyku ogródkowym, ta waryatka ciągnęła ją na kolacyę, ale nie była w humorze, zresztą coby tam robiła bez niego? Widziała nowy obraz Siemiradzkiego. Radlicz ją eskortował, targowała szafę gdańską z okazyi, ale się bez niego nie zdecydowała; zaprowadzi go tam jutro, obstalowała letni kostyum, zrobi mu niespodziankę.

Gwarzyła swobodnie i od niechcenia spytała:

— Nie zostaniesz na obiedzie — zapewne?

— Chyba mnie nie zaprosisz! Mam i wieczór wolny, i nowe konie czekają u bramy. Pojedziemy o zmierzchu.

— Tak, o zmierzchu! — powtórzyła bezdźwięcznie, czując, że stępuje o jeden szczebel niżej i że słońce nie będzie już ich spacerom przyświecać...

Zrozumiał ją i spuścił głowę.

— Sama mi przyznasz racyę! — Treść należy do ciebie. Pozory muszę zostawić.

Nie dokończył, podniósł oczy.

— Nie pytasz mnie o nic?

— Nie chcę dożyć chwili, gdy będę musiała pytać — odparła. — Między nami niema tajemnic, rozkoszą naszą są zwierzenia i spowiedź z najskrytszych myśli. Nie poruszam tylko kwestyi bolącej; ty tu przychodzisz po radość i odpoczynek.

— Stało się tedy. Wczoraj przywiozłem fant do domu. Nie jestem słodko względem niej usposobiony, ale wyznać muszę, że jak dotychczas, wcale się mną nie zajmuje.

— Złożycie wizyty, będziecie przyjmować. To będzie uciążliwe.

— Zapewne, chociaż zredukuję to do minimum.

— A jeżeli się ona w tobie zakocha?

Ruszył pogardliwie ramionami.

— To się stanie, zanadtoś piękny, chyba...

Urwała dyskretnie.

— Chyba zakocha się w kim innym, toby było świetne i tryumf twego ojca zmieniłby się w klęskę.

Milczał, urażony.

— Mam nadzieję, że i to się nie stanie — rzekł wreszcie.

— Więc cóż za przyszłość?

— Nie obchodzi mnie. Zawarowałem sobie swobodę, będę z niej korzystał.

Teraz ona milczała.

Byli szczerzy dotychczas, ale nie domawiali swych myśli. Onaby zohydzić chciała tę swoją rywalkę, tak na pozór nic nie znaczącą, a tak wyższą i silną. Nienawidziła ją z całej duszy, a samaby mu tego nie wyznała. On rozżalony był do niej, że mu pozwoliła na ten związek, nie okazała zazdrości, nie obroniła go przed głupią pozycyą i kłopotem. Chociaż za nicby jej tego nie wyznał, uważając to za niskie uczucie i niekonsekwencyę, wobec uznania, którego jej za takt nie szczędził.

— Bella poleciała wczoraj na stacyę. Widziała ją! — rzekła po chwili pani Celina. — Mówiła, że jest przyzwoita, a Radlicz dowodzi, że śliczna. Kłócili się o to cały wieczór. Jakąż ona rolę sobie obrała?

— Doprawdy nie wiem. Cały dzień byłem w biurze, a wczoraj głowa mnie szalenie bolała. Nie mówiliśmy ze sobą trzech słów. Teraz jestem głodny! — dodał żartobliwie.

— A ja, jak prawdziwa kobieta, karmię cię zazdrością. Chodźże — dzisiaj nasze! — odpowiedziała podobnież. I otoczywszy mu szyję ramieniem, poprowadziła do jadalni.

O zmierzchu, jak było postanowione, pojechali za miasto. Pani Celina spytała o konie, zachwycona szybkością.

— Kupiłem ze wsi! — odpowiedział wymijająco.

Biedny, poczciwy Szpanowski nie wiedział, komu poszły służyć jego pieszczone kasztanki.

Andrzej wrócił do domu nad ranem. Nazajutrz przyszedł do herbaty zmęczony i rozdrażniony, czując, że powinien się usprawiedliwić, przygotowany na uwagę ze strony ojca, może na łzy Kazi.

Ale prezes nie uczynił żadnej wzmianki, Kazia rozmawiała swobodnie, ignorowali go zupełnie. Dopiero gdy wychodził ojciec rzekł:

— Radlicz się o ciebie wczoraj wieczorem dopytywał. Zaprosiłem go dzisiaj na obiad; ano i do Dąbskich. powinniście pojechać.

— Tak prędko — po co? Można za parę tygodni.

— Nie można. Tak wypada, a przytem forma musi być zachowana. Ludziom musicie się pokazać.

— Ano — to odrazu to odbyć! Gdzież mamy bywać? — zwrócił się niecierpliwie do żony.

— Zkądże ja mam to wiedzieć? Panowie wybiorą dla siebie, a potem z sumy ja sobie wybiorę, co mi się podoba. Teraz służę wszędzie.

Nie, wcale seryo i tragicznie nie traktowała swego losu. „Ja sobie wybiorę, co mi się podoba“, ukłóło Andrzeja. Rozdział stosowała wtedy i co do siebie, i dążyła jak on do swobody.

Ruszył brwiami: mniejsza z tem!

— Wizyty oddamy jutro tedy! — zadecydował — będziemy u Dąbskich, Morawskich, Hankich i Gostyńskich. Zresztą pustki, nikogo więcej w mieście niema.

— Tak, tymczasem będzie dosyć. Jesienią trzeba będzie wybrać dzień na przyjęcia! — rzekł prezes. — Myślę, że piątek! — dodał po namyśle.

Krew nabiegła do twarzy Andrzeja, zrozumiał myśl.

— Piątki ja mam zajęte! — rzucił ostro.

— Ano, zobaczymy! — obojętnie odparł prezes.

Kazia wmieszała się do rozmowy.

— Ja także jestem zdania pana — rzekła, zwracając się do męża. — Poco taki pośpiech? Ojcu tęskno za wintem i ludźmi, i dla mnie przymus sobie czyni, spędzając samotne wieczory. Tak być nie powinno. Niech się panowie mną nie krępują. Daję wam zupełną wolę i swobodę, w zamian za klucz od biblioteki. Będę się bawiła w tem towarzystwie, jak król!

— Et! bajesz! — obruszył się prezes. — Zanim wizyt nie oddacie, będziesz jak w niewoli, i ja ciebie nie odstąpię. A przytem — bój się Boga — mówisz do niego: pan; to niemożliwe.

— Ba, a jak zapomnimy na razie imienia będzie jeszcze gorzej! — roześmiała się.

— Nie żartuj! Musicie przecie mówić sobie po imieniu.

Andrzej brał za klamkę i śpieszył się.

— Na którą obiad? — spytała go.

— Wrócę o piątej.

Zaraz po nim i prezes się ulotnił. Miał przeróbki w kamienicy, potem interes u rejenta. Kazia została sama, zazdroszcząc im zajęcia. Jej zatrudnienia były zabawką po pracy na wsi. Rachunek z kucharką, porządek w domu, drobne szczegóły z ogrodnikiem, cukiernią, handlem delikatesów. Starczyło do południa. Potem zeszła na podwórze. Miała tam przecie znajomych: konie z Górowa i duszę przyjazną — Stacha Skowronka.

Stangret submitował się nowej pani, Stacho rzucił się do niej, prawie płacząc z radości. Poczęła pieścić klacze, cukrem je karmić, a one jakby ją poznały, wyciągnęły szyje, skubały za rękaw.

— Biedaczki! tak tu się nudzą, a takie wystraszone. Rżą, że aż się serce kraje! — mówił Stacho!

— A tobie jakże się podobało? — spytała.

— Wedle wiktu — to ha! — odparł i zerknął w stronę stangreta. — W gębę też jeszcze nie wziąłem od pana Walentego.

Tu głos zniżył:

— Ino mi się cnie za Górowem. Oj cnie! — i westchnął.

— Przywykniesz, tylko pracuj i złej kompanii unikaj.

— Jakaż ta tu robota! Precz się rozpróżniaczę. Pan Walenty mówił, że będę za panienką, tfu, za jaśnie panią jeździł w jakieś łazienki. Kiedy to będzie?

— Nie mam czasu dzisiaj!

Szła ku bramie, Stacho za nią.

— Za przeproszeniem jaśnie pani, co tu jest do roboty? Woda precz — na górze chleb gotowy, co ino człek zamarzy, to na rynku jest, siano przywiozą, owies przywiozą, nawet sieczka gotowa. Człowiekowi się zda, że się żydem stał, co ino cudzemi rękoma robi, i tylko pieniądze przebiera. Juści tu wszelakiego się napatrzę i użyję, ale com umiał, to zapomnę, a od tego smrodu to mi i picie i jadło nie smakuje. Koniska prychają, jak od ciemierzycy, tak im to powietrze w nosie kręci. Widzi mi się, że my tu nie przystaniemy z ochotą!

— Trzeba się przyzwyczaić Stachu. A może grosza nie masz, biedaku!

— E, nie o to! Jabym ino chciał, gdzie, bliżej jaśnie pani być. Z końmi to ja lubię żyć, ale tu ino na nie patrz, a nie używaj! Co to warte. Walenty mówił, że Janowie ino kwartału czekają. Jabym do pokoju poszedł na młodszego. W tej stajni, to ja nawet mego pana nie zobaczę, jak z Górowa do pani przyjedzie!

Kazia uśmiechnęła się.

— Ależ Stachu, nie umiesz ani się ruszać, ani mówić. Byłoby ci jeszcze nudniej w pokojach. Musiałbyś milczeć zawsze.

— Tobym milczał. Ale jabym panience usłużył. Ja się duchem służby nauczę!

— No to się ucz — i czekaj cierpliwie! Rozważę!

Stacho nabrał otuchy, poweselał widocznie.

Pocałował ją w rękę, i oczyma przeprowadził do bramy.

Kazia wzięła książkę z biblioteki, i chciała czytać uważnie, ale miała myśli niesforne.

Co robić, czem zwalczyć pustkę i nudę takiej egzystencyi, jaki cel dać życiu, które może jeszcze długie leżało przed nią? Tutaj, nikt jej nie potrzebował. Obcą jest zupełnie, obcą pozostanie, jeśli nie wrogą.

Książka opadła na jej kolana, a ona siedziała wtulona w kąt otomany, w gabinecie prezesa, blizka płaczu.

W tem dzwonek się rozległ w przedpokoju, po chwili rozmowa Jana z odwiedzającym.

— Pana prezesa niema w domu.

— Wiem o tem — odparł ktoś — ale mi tę godzinę naznaczył, a że dzisiaj odjeżdżam, więc zaczekam.

— Proszę pana hrabiego do gabinetu.

— Zanim Kazia miała czas powstać, gość wszedł. Jan za nim drzwi zamknął.

Spojrzeli na siebie, oboje zdziwieni. Gość się skłonił i zapatrzył się na nią. Ona powstała.

— Pan zapewne do pana prezesa Sanickiego. Proszę spocząć, za chwilę wróci.

— Dziękuję pani. Istotnie mam interes i bardzo mało czasu, więc lękam się rozminąć. Ale daruje pani moje zdziwienie, na widok kobiety u prezesa. Pani pozwoli się przedstawić: Eustachy Kołocki.

— Zdziwienie pana jest słuszne, gdyż prezes jest moim teściem, zaledwie od trzech dni!

— Andrzej się ożenił! — z wyrazem bezmiernego podziwu zawołał gość i znowu się w nią zapatrzył.

Był to człowiek czterdziestoletni, z piękną rasową twarzą, na której rył się przesyt i zmęczenie.

— Pani zapewne nie z Warszawy? — rzekł po chwili.

— Dlaczego? — uśmiechnęła się.

— Bo znam wszystkie tutejsze piękne panny

— Przepraszam pana — czy pan fotograf? — odcięła.

— Nie pani, tylko czciciel piękna. Ten Andrzej w czepku się rodził. Fortuny używa i nie stracił, młodości używa i nie zużył, umie życie trzymać w garści i kierować, gdzie i jak sam chce. No i ożenił się i doprawdy gotów nawet być szczęśliwym do końca! Ja, jego mentor, uchylam przed nim głowy.

— Panowie się znają oddawna? — spytała Kazia.

— Od dnia mojej pełnoletności i rozpoczęcia procesu z matką. Dwadzieścia lat ubiega.

Spojrzała nań ze zgrozą.

— Pani się dziwi? Tak jest. Mam jedną nienawiść — matkę, i jedno marzenie — jej dokuczyć. Że zaś interesy jej są w ręku prezesa, widujemy się często. Licho mu płacę, więc przez wdzięczność zająłem się edukacyą światową Andrzeja. Jakim jest — mnie zawdzięcza. Pani się podobał — nieprawda?

Roześmiał się gorzko i sztucznie, że Kazia, zamiast oburzenia, poczuła doń litość.

Popatrzała nań spokojnie, bardzo poważnie, i nic nie odpowiedziała.

— Więc pani jest ze wsi bardzo cichej i pustej zapewne — rzekł po chwili innym tonem. — Widać to po licu pani, które zna pocałunki słońca tylko i po oczach pani, które nie widziały jeszcze życia. Bardzom panią zgorszył?

— Bardzo mi żal pana, jak każdego kaleki — odparła. — Ale oto i dzwonek — to teść zapewne. Żegnam pana!

Skłoniła mu się zdaleka i wyszła.

— Odsiedziałeś wieżę u mnie, hrabio! — zawołał prezes wchodząc. — Przepraszam — zaległości odrabiałem.

— Chciałbym często tak czekać. Zastałem tu panią i rozmawialiśmy.

— Ach! Kazię! — mruknął prezes, składając tekę na biurze.

— Andrzej się ożenił incognito! Kiedy? Gdzie?

— To było dawno ułożone. Nie rozesłaliśmy zawiadomień, bo do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy będzie dyspensa. Krewni są — kłamał prezes.

— Ach! tak. Takie mając kuzynki i jabym się ożenił. Ale przystępując do interesu, czy matka zgadza się na zmazanie jej hipoteki z Pożajska?

— Niestety, hrabio — to niemożliwe.

— Więc ja jej zapowiadam, że dobra sprzedam.

— Ona sama je nabyć pragnie.

— Ba! ja to wiem, i dlatego właśnie sprzedam apanażom.

Na bladą jego twarz wystąpił rumieniec, nozdrza się rozdęły!

— Czy potrzebujesz, hrabio, pieniędzy? Możesz je mieć na pięć procent! — odparł spokojnie prezes.

Kołocki rzucił się w fotel, zapalił papieros i milczał.

Prezes do oryginalności jego nawykły, począł wyjmować i rozkładać papiery z teki.

— Wiesz, hrabio, wielką nowinę? — spytał.

— Nic nie wiem — wracam z południowej Francyi i dziś jadę do Moskwy, gdzie moje konie biegają. Cóż za nowina?

— Orszańscy się rozchodzą.

— Bagatela — dla kogo?

— Właśnie, że dla nikogo. Od paru lat ona się burzy na jego życie. Co prawda, być żoną gracza, nie wesołe. Teraz chce od jego wpływu i przykładu ratować syna. Wziąłem sprawę na siebie.

— Niech się rozchodzą. Ktoś pocieszy rozwódkę. Nie ja. Prezesie, łaskawco, chcę nabyć dobra za Wisłą. Nie znacie co dobrego?

— Znam złote jabłko, i za bezcen. Tylko trzeba parę lat zaczekać.

— Nic z tego. Zaraz, albo wcale! Zresztą znajdę sam!

— To będzie najlepiej.

Po wygolonych wargach prezesa przeleciał dyskretny uśmiech. Znał swego klienta i wiedział, że na czyn nigdy się nie zdobędzie. Zresztą, teraz bardziej, niż zawsze, Kołocki był rozdrażniony, a na to się wyczerpie mały zapas jego woli. Będzie parskał, odgrażał się i tem się nasyci. Potem przyjdzie okres hulanki na zabój, potem miesiące całe apatyi. Losy Pożajska były tedy na czas dłuższy zabezpieczone. Mógł uspokoić hrabinę.

— Dobre masz konie, hrabio, w tym roku? — spytał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Pułaski rozrzewniony wstał i natchniony proroczo, ręce położył na jego ramionach.

— Tak — rzekł podnosząc oczy w górę, jakby w niebiosach chciał czytać — tobie danem będzie walczyć za matkę... ale nie mnie już! nie mnie! Marek wydał wyrok... ja tu kości położę...

— Bóg tylko jeden wie przyszłość — przerwał Kościuszko. — Samiście opowiadali mi, że ks. Marek w początkach wróżył zwycięztwa, a na ostatku same klęski.

— Tak! ale wiesz co mi powiedział w Częstochowie. Słowa są wielkie, dziwne, a dusza z której wyszły, święta. Gdym mu przypomniał pierwsze jego proroctwa, rzekł mi. — Tak! prorokowałem zwycięstwa, ale wy grzechami swemi zadaliście kłam proroctwu i miłosierdzie złamaliście Boże — bodaj wasze cnoty uczyniły mnie jeszcze raz kłamcą i odwróciły pomstę!

Kościuszko słuchał milczący.

— Ja wrócę — rzekł po chwili — tak. — Śni mi się Polska, wiem, że mnie angielska kula nie weźmie, muszę jeszcze ucałować ziemię, co mi dała życie. Dziś niema tam co poczynać jeszcze, po świeżych ranach nabiera sił znużona, ale walka się ponowi... będę bił się z nieprzyjacielem ojczyzny!

Tu się wojny uczę, którą tam będę prowadzić.

— Tak — dodał Pułaski — nauczyć się tu można wiele i tego, co robić potrzeba, jak oni robią i tego, co jak oni czynić nie należy. Wojsko ich lichsze jest od naszego... ale gdzie u nas takich znajdziemy mężów jak Washington, Franklin, Jefferson! my jesteśmy mężniejsi może, mamy starego rycerstwa tradycyą, u nas szlachcic rodzi się żołnierzem, bawi w ułana nie umiejąc chodzić, a jeździ konno wprzód, niż się czytać nauczy. W rodzinach naszych jest karność, która się z młodzieżą łatwo przenosi do regimentu, gdy dowódzca chce być ojcem miłością i powagą, — ale gdzież u nas ich ta żelazna wytrwałość, ta wiara w siebie niezłomna po klęskach, chęć ofiary we wszystkich... naostatek.

— Naostatek — dorzucił Kościuszko — gdzie u nas ta jedność w narodzie, jaka jest tutaj? W Polsce mamy jeszcze panów, szlachtę, mieszczan, żydów, lud, wszystko poodosobniane, podzielone. Mieszczaństwo ledwie z pieluch się rozplątuje, niedorosłe i zbiedzone; przesądów tysiące, ludzie różnych rodzajów, a niema dotąd — człowieka...

— Po części macie słuszność — rzekł Pułaski, ale wina tego, jak zasługi przeszłości ciążą na — szlachcie, w niej było i jest życie narodu, którem się ona podzielić nie chciała, a obowiązków swych w końcu nie spełniła. Sam jestem szlachcic, wysoko cenię powołanie, które nam dał Bóg, ale wiem i to, że szlachcic godzien tego imienia, winien pamiętać, iż jest z ramienia Bożego wysadzonym przewodnikiem, starszyzną, która ma wieść do pracy, do ofiary, do wszystkiego, co poczciwe i szlachetne.

Szlachcic opój, niezdara, kłótnik, pan sybaryta, a rozpustnik, a przekupiony; tchórz wobec wroga — to klęska i zguba narodu. Powtarzam wam demagogiem nie jestem, nie będę — za starym na to — po chrześciańsku widzę we wszystkich braci, po polsku w szlachcie zakon rycerzy... Bożych. A kto wstąpiwszy do zakonu, poślubiwszy obowiązki wielkie, zapomni o nich, zdradzi, rozbestwi się, temu miecz Boży — łeb utnie. Nie stanie szlachty! nie stanie narodu!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Ah! przez litość, kobieto — zawołała Marya Antonina — patrz na mą boleść, patrz na me łzy.

I znowu przejść usiłowała, już nie w nadziei ucieczki, ale machinalnie, dla uniknięcia tak przerażającego natręctwa.

— O! ty nie przejdziesz — ryknęła stara — ty chcesz uciekać, pani Veto... wiem o tem, człowiek w płaszczu mówił mi to, ale nie ujdziesz — dodała, czepiając się sukni królewskiej — ja cię nie puszczę, ja! Do broni, obywatele!..

I z rozpostartą ręką, z rozczochranym siwym włosem, czerwoną twarzą, oczami krwią zaszłemi, nieszczęśliwa padła, rozdzierając suknię, której się uchwyciła.

Królowa bezprzytomna prawie, ale przynajmniej oswobodzona od szalonej, miała już umknąc w stronę ogrodu, gdy nagle okropny krzyk i szczekanie psa, oraz dziwny jakiś zgiełk, wyrwały z osłupienia gwardzistów narodowych, którzy z powodu powyższej sceny otaczali Maryę Antoninę.

— Do broni! do broni! zdrada! — zawołał jakiś człowiek, po którego głosie królowa poznała Simona.

Obok człowieka tego, który z płaszczem w ręku bronił przystępu do progu chatki, mały Black szczekał zajadle.

— Do broni! cały posterunek! — wrzeszczał Simon. — Jesteśmy zdradzeni. Zaprowadźcie nazad Austryaczkę. Do broni! do broni!

Przybiegł oficer.

Simon mówił z nim i z zaiskrzonym wzrokiem pokazał mu wnętrze chatki.

Oficer krzyknął także:

— Do broni!

— Black! Black! — wołała królowa, postępując naprzód kilka kroków.

Ale piesek nie słuchał, lecz ciągle szczekał zajadle.

Gwardziści chwycili za broń i rzucili się do chatki, a tymczasem urzędnicy obstąpili królowę, jej siostrę i córkę i zmuszali do wejścia za wrota, które się natychmiast za niemi zamknęły.

— Nabić broń! — wołali urzędnicy do placówek.

I natychmiast usłyszano szczęk nabijanej broni.

— Tam, tam, pod klapą — wrzeszczał Simon. — Widziałem, jak się klapa ruszała, jestem tego pewny. A nadto poczciwy mały piesek Austryaczki, zapewne nie należący do spisku, szczekał na spiskowych, którzy są niezawodnie w piwnicy. O! patrzcie, patrzcie znowu szczeka.

W samej rzeczy Black, podniecony wołaniem Simona, podwoił szczekanie.

Oficer uchwycił za kółko u klapy, a dwaj najsilniejsi grenadyerowie, widząc, że nie może sam poradzić, pomogli mu, lecz bez skutku.

— A widzicie, że przytrzymują klapę — rzekł Simon. Ognia do klapy! przyjaciele, ognia!

— Eh! — zawołała wdowa Plumeau — potłuczecie mi butelki.

— Ognia! — powtórzył Simon — ognia!

— Milcz, krzykało — rzekł oficer — a wy dajcie siekier i porąbcie podłogę. Niech cały pluton będzie gotów. Baczność! i ognia do piwnicy, skoro będzie otwarta.

Po nagłym podskoku tarcic i głuchym okrzyku, gwardziści narodowi poznali, że pod spodem jakiś ruch miał miejsce. Wkrótce usłyszano podziemny łoskot, podobny do pchnięcia żelaznej zasuwy.

— Odważnie — rzekł oficer do przybiegających saperów.

Siekiera rozrąbała deski. Dwadzieścia rur karabinowych zniżyło się w kierunku otworu, który się co chwila powiększał.

Ale przez ten otwór nie dostrzeżono nikogo.

Oficer zapalił pochodnię i wrzucił ją do piwnicy; piwnica była pusta.

Nakoniec podniesiono klapę, która teraz nie stawiała żadnego oporu.

— Za mną! — zawołał oficer śmiało, schodząc do piwnicy.

— Naprzód! naprzód! — wołali gwardziści narodowi, dążąc za swoim oficerem.

— Ah! wdowo Plumeau — powiedział Simon — pożyczasz arystokratom twojej piwnicy.

Mur był wybity. Na wilgotnym gruncie znać było ludzkie ślady, i przejście na trzy stopy szerokie a na pięć wysokie, na kształt kanału zagłębiało się w kierunku ku ulicy de la Corderie.

Oficer ośmielił się pójść tym otworem w zamiarze ścigania arystokratów, nawet we wnętrznościach ziemi, ale zaledwie postąpił kilka kroków, zatrzymała go żelazna krata.

— Stój! — rzekł do popychających go z tyłu — nie można iść dalej; jest tu fizyczna przeszkoda.

— I cóż! — mówili urzędnicy, którzy zamknąwszy uwięzione, przybiegli dowiedzieć się coby to było — co się stało?

— Do licha! — odpowiedział wracający oficer — jest spisek; arystokraci chcieli porwać królowę podczas jej przechadzki, i zapewne musiała być z nimi w zmowie.

— Czekaj — zawołał urzędnik. — Biegać po obywatela Santerre i uprzedzić o tem gminę.

— Żołnierze — rzekł oficer — pozostańcie w piwnicy i strzelajcie do każdego, ktokolwiek się wam pokaże.

I wydawszy ten rozkaz, pospieszył napisać raport.

— Ah! ha! — wołał Simon, zacierając ręce. — Ah! ha! teraz już nie powiedzą, żem głupi. Dzielny Black; wyborny z ciebie patryota. Black, tyś ocalił rzeczpospolitą. Pójdź tu Black, pójdź tu.

I rozbójnik ten zrobiwszy słodkie oczki do pieska, gdy psina ku niemu podbiegł, uderzył nogą tak, że biedne stworzenie o dwadzieścia kroków odleciało.

— Oh! ja cię kocham Black — rzekł — ty kiedyś poprowadzisz twoją panią na rusztowanie. Pójdź tu Black, pójdź tu!

Ale teraz Black nie usłuchał, lecz wyjąc, pobiegł do wieży.

XIII.

Elegant.

W dwie godziny po zajściu opowiedzianych dopiero wypadków, Lorin przechadzał się po pokoju Maurycego, Agezilaus zaś czyścił panu buty w pierwszej stancyi. Dla większej wygody w rozmowie, pozostawili drzwi otwarte, Lorin ilekroć do nich poszedł, następujące zadawał pytanie oficyaliście.

— Mówisz więc, obywatelu Agezilaus, że pan twój wyszedł dziś rano?

— O mój Boże, tak.

— O zwyczajnej porze?

— Może kilka minut pierwej, może kilka minut później, nie mogę ścisłej prawdy w tem powiedzieć.

— I nie widziałeś go dotąd?

— Nie, obywatelu.

Lorin znowu milcząc przeszedł się kilka razy, a potem stanął.

— Czy wziął z sobą pałasz? — zapytał.

— O! skoro idzie do sekcyi zawsze go bierze.

— A czy pewny jesteś, że poszedł do sekcyi?

— Tak mi przynajmniej mówił.

— W takim razie pójdę do niego — rzekł Lorin. Gdybyśmy się rozminęli, powiesz mu że byłem i że powrócę.

— Czekaj, obywatelu — rzekł Agezilaus.

— Co?

— Słyszę go na schodach.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny.

W rzeczy samej, prawie natychmiast otworzyły się drzwi od schodów i wszedł Maurycy.

Lorin szybkie nań rzucił spojrzenie i widząc, że na twarzy jego nie maluje się nic nadzwyczajnego rzekł:

— Jesteś! nakoniec, czekam cię od dwóch godzin.

— Tem lepiej — z uśmiechem odpowiedział Maurycy — miałeś czas przygotować się do nowych improwizacyi.

— Ach! mój kochany — rzekł improwizator — już ich zaniechałem.

— Jakto, twoich wierszy?

— Tak jest.

— Bah! to chyba już koniec świata?

— Maurycy, przyjacielu, jam smutny!

— Tyś smutny!

— Jam nieszczęśliwy.

— Ty nieszczęśliwy?

— Eh! dla Boga, tak jest — mówił Lorin — ty albo ona, mój kochany, a między wami nie było nikogo. Ty, albo ona, pojmujesz, żem się nie wahał; ale widzisz, Artemiza w rozpaczy, była to jej przyjaciółka.

— Biedna dziewczyna!

— A że to ona dała mi jej adres..

— Byłbyś daleko lepiej uczynił zostawując rzeczy ich naturalnemu biegowi.

— Tak i zamiast niej ty byłbyś już teraz skazany. Dzielnie rozumiesz, kochany przyjacielu. A ja com przyrzekł prosić cię o radę, sądziłem, żeś silniejszy nad to wszystko.

— No, obaczymy, mniejsza z tem, mów; słucham cię.

— A więc! czy pojmujesz? Chciałbym spróbować czy nie uda mi się ocalić tej biedaczki. Gdybym dobrze dostał za nią po karku, zdaje mi się, że byłoby mi lżej na sercu.

— Szalonyś Lorinie — rzekł Maurycy wzruszając ramionami.

— No, a gdybym się udał z prośbą do rewolucyjnego trybunału.

— Już za późno, już ją skazano.

— W rzeczy samej, zbyt okropnie jest patrzeć na śmierć tak młodej dziewicy.

— Tem okropniej, że to moje ocalenie śmierć jej spowodowało. Ale nakoniec, Lorinie, powinniśmy się pocieszać tem, że knuła spisek.

— Eh! mój Boże! czy w dzisiejszym czasie wszyscy mniej więcej nie knujemy spisków? I ona biedaczka, postąpiła tak jak wszyscy!

— Nie żałuj jej zanadto, mój przyjacielu, a mianowicie, nie żałuj jej za głośno — powiedział Maurycy — bo i na nas ciąży część jej winy. Wierzaj mi, jeszcześmy nie dobrze wymyli plamę, jaką nas skalało oskarżenie o zmowę z tą dziewczyną. Dziś w sekcyi kapitan od strzelców de Saint-Leu nazwał mię żyrondystą, i tylko co myślałem go pchnąć szpadą abym go przekonał że się myli.

— Dla tego to przychodzisz tak późno!

— Dla tego.

— Ale czemużeś mię o tem nie uprzedził.

— Bo w tego rodzaju wypadkach nie umiesz być panem siebie: musiałem rzecz tę natychmiast załatwić aby się nie rozgłosiła: Wzięliśmy sobie każdy takich, których mieliśmy pod ręką.

— I ta bestya nazwała cię żyrondystą, ciebie, Maurycy, ciebie czystego!...

— Ależ tak, do licha! i niech cię to przekona, mój kochany, że lada awanturka podobna, uczyni nas niepopularnymi; a wiesz, Lorinie, że w dzisiejszych czasach niepopularny, to znaczy podejrzany.

— Wiem — powiedział Lorin — i na to słowo drżą najodważniejsi, lecz mniejsza o to!... nie mogę puścić Heloizy pod gilotynę, nie wybłagawszy u niej przebaczenia.

— Nakoniec, mów-że czego chcesz?

— Chcę abyś ty Maurycy, pozostał u siebie, bo nie masz sobie nic do wyrzucenia. Ja, to co innego; kiedy już nic dla niej uczynić nie mogę, pójdę i stanę na jej drodze; ja tego chcę koniecznie, kochany Maurycy, i ty mię pojmujesz, niech mi przynajmniej poda swą rękę.

— A więc i ja pójdę z tobą — rzekł Maurycy.

— To niepodobna mój przyjacielu, zastanów się: jesteś urzędnikiem, jesteś sekretarzem sekcyi, należałeś do sprawy, kiedy ja przeciwnie, byłem tylko twoim obrońcą; wezmą cię za winnego, zostań więc. Ze mną, rzecz się ma zupełnie inaczej, ja nic nie ryzykuję, a zatem idę.

Wszystko, co powiedział Lorin, tak było słusznem, że żadnej nie wymagało odpowiedzi. Maurycy samem nawet spojrzeniem na Heloizę Tison idącą na rusztowanie, obwiniałby się o wspólnictwo w jej winie.

— Idź więc — rzekł mu — ale bądź roztropny.

Lorin uśmiechnął się, ścisnął dłoń Maurycego i wyszedł.

Maurycy otworzył okno i posłał mu smutne pożegnanie. Ale nim Lorin zawrócił się na drugą ulicę, nieraz stawał, oglądał się i za każdym razem, jakąś magnetyczną sympatyą powodowany, patrzył i uśmiechał się.

Nakoniec gdy znikł na rogu wybrzeża, Maurycy zamknął okno, rzucił się na krzesło i wpadł w ów rodzaj ospałości, który u ludzi tęgiej duszy, silnej organizacyi stanowi przeczucie wielkich nieszczęść, podobny bowiem jest do ciszy poprzedzającej burzę.

Z marzenia tego a raczej uśpienia wyrwał go dopiero służący, który wrócił z miasta z wesołą miną, co znaczyło, że pała z niecierpliwości opowiedzenia panu nowin, które uzbierał.

Widząc jednak Maurycego zajętym, nie chciał mu przeszkadzać, i poprzestał na przejściu koło niego kilka razy natrętnie i nie wiedząc po co.

— Cóż chcesz? — niedale zapytał Maurycy — mów, jeśli masz mi co do powiedzenia.

— Ah! obywatelu, odkryto znowu sławny spisek.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Kary i nagrody.

„Bądźmy pobłażliwi! O ile możności starajmy się rządzić łagodnością, nie bierzmy rzeczy zbyt tragicznie, nie unośmy się gniewem, gdy postępy w nauce do życzenia nieco pozostawiają, lub gdy dziecko jakiś szkodliwy figiel spłata“ — woła słusznie dr. Scholz w dziele „o wadach charakteru dziecięcego i ich leczeniu“. — Z drugiej strony unikać należy zbyt żywej pochwały i objawów radości.

Bądźmy pobłażliwi!

Smutno przyznać, że bylibyśmy wyrozumiali dla drobnych przewinień dzieci, gdybyśmy mogli zawsze panować nad swym gniewem, gdybyśmy w stanie byli rozumem nad nim zapanować. Jakiś stłuczony wazon, wylana szklanka mleka — gotowe wyprowadzić nas z równowagi. Idźmy dalej. Zdarza się, że jesteśmy w złym humorze, a wówczas najdrobniejsze przewinienie, na które w innym razie nie zwróciliśmy uwagi, sprowadza na dziecko karę. Czyż kara nie ma wówczas barwy zemsty jakiejś, odcienia pastwienia się, dogodzenia potrzebie wywarcia na kimś swego gniewu.

Pomnijmy, że dziecię ma głęboko wkożenione poczucie sprawiedliwości, pochwyci ono ten nie szczery odcień w waszej karze i... osądzi wasz postępek. Więc karzmy tylko wtedy kiedy jesteśmy zupełnie spokojni...

Jak karać dziecko?

Jeśli dziecko prawdziwie nas kocha, to okazanie mu chwilowej oziębłości będzie najlepszą dlań karą.

Przedewszystkiem strzeżmy się owych łokciowych morałów, które mogłyby uśpić nie dziecko drażliwe, ruchliwe, ale człowieka dojrzałego. W używaniu nagan bądźmy oszczędnymi, aby były skuteczniejsze. Niech każda matka uważa, aby nie zepsuć dziecka przez nierozumne, gadatliwe moralizowanie, niech morałów w wychowaniu jej będzie jak najmniej, a jak najwięcej dobrych przykładów z życia lub książki. Jedno: „Józiu, sprawiłeś mi wielką przykrość“ często silniejsze wywrze na dziecku wrażenie, niż półgodzinne kazanie.

Dalej, niech rany dziecka nie ranią subtelnych uczuć godności. Szanujmy w dziecku dumę, która jest szlachetnem uczuciem, nie poniewierajmy jej, nie igrajmy nią, nie dotykajmy dziecka na każdym kroku docinkami i wymówkami, bez względu na to, czy jest kto z obcych, czy nie, nie urażajmy dziecka zbyt silnie.

Musimy wspomnieć o karach cielesnych. Przy dobrem wychowaniu od niemowlęctwa kara ta nigdy potrzebną nie jest. Smutne to bardzo, gdy na dziecko działać może ból fizyczny tylko! Nie, kara cielesna nie poprawia charakteru, a raczej głębiej ukrywa wady, niż owe środki znachorów, co wyrzuty z ciałe wpychają pod skórą. Dziecko, wychowane pod ciągłą grozą kary, czeka tylko chwili, by wydobyć się z więzów i powetować poprzednią niewolę. Są wypadki i bywa ich wiele, gdzie ojcowie, korzystający z usług rózgi, wychowali dzielnych synów, ale któż ośmieli się sądzić, że ta rózga dzielność w nich wyrobiła. Czego zaś rodzicom darować nie mogę, na co patrzałbym ze wstrętem, to — na uderzenie dziecka w twarz.

Uważajmy dzieci za lepsze, niż są, a wkrótce się poprawią, podejrzewajmy w nich zalety, których jeszcze nie mają, a wyrobią je sobie wmawiajmy w dziecko, że jest dobre, że ono nie jest w stanie źle postępować, a w większości wypadków nie zawiedzie naszych oczekiwań. Wieczna dążność wynajdywania wad u dzieci zgubnie wpływa na niektóre charaktery. Pilnemu, a mniej zdolnemu uczniowi dość jest powiedzieć: „leń, osioł jesteś, nic z ciebie nie będzie“, by się zupełnie zniechęcił do książki.

Cóż mamy powiedzieć o nagrodach? Najlepiej rozumie się, jeśli nie jesteśmy zmuszeni do liczenia się z niemi. „Wy drogie dziatki, dajecie nam to, co możecie, my dajemy wam to, cośmy dać w stanie.“ Ale nie zawsze jest to możliwe. Owszem, niech nagrody nasze ściśle będą obrachowane, a już najbardziej strzeżmy się tego bezmyślnego uwielbiania dla wszystkich bez wyjątku słów i czynów dziecka:

— Ach, jak on mądry, ach, co on zrobił, powtórz to, coś wczoraj powiedział.

Wychwalanie daje mu wygórowane pojęcie o jego rozumie i powiększa jego wymagania, a życie, jak życie, więcej chce wziąć, niż daje, i rzadko z tych okrzyczanych „cudownych dzieci“ coś dobrego wyrasta. Nie chciejmy z dziecka zrobić „starego“, ma czas na to, owszem, niech będzie, niech jak najdłużej będzie dzieckiem.

Umiejętność ubierania się.

Nie powinniśmy nigdy uważać sukni jako głównej rzeczy w naszem ubraniu; niechaj tylko będzie niejako obramowaniem naszej postaci. Niechaj człowiek wzbudza nasze zajęcie, a nie jego suknia. Naturalnie, że ubranie przyczynia się do miłego wrażenia, jakie na nas czyni osoba, to też powinno być stosowanem i nie przesadzonem. Prawdziwie elegancka dama, nie weźmie na siebie niczego, coby nadto biło w oczy i raziło rozmaitością kolorów; każdy szczegół w jej ubraniu, robi wrażenie dodatnie, zdradzając przyzwyczajenia estetyczne.

Z mody powinniśmy tylko tyle brać, ile do naszej powierzchowności da się zastosować. Niektóre kobiety mają to poczucie wrodzone, inne muszą je dopiero w sobie wyrabiać, przypatrywać się i nabierać gustu.

Pięknie ubraną być, nie znaczy mieć każdy szczegół w ubraniu ładnym, ale wszystko powinno być dobranem. Bo: może być suknia śliczną, rękawiczki ładne, kapelusz wymarzony, parasolka droga, a wszystko razem robi wrażenie niesmaczne, bo niedobrane kolory rażą. Tak samo też wiele krytykowany, często zachwyt wzbudzający, bardzo zmienny w dziedzinie mody, znaczne sumy kosztujący nieraz kapelusz, — jest wtedy tylko prawdziwie ładnym, jeżeli odpowiada całości toalety, jeśli do twarzy i kolorów włosów dobrze jest zastosowanym, jeśli jest ładnym dodatkiem w toalecie, nie przeładowanym piórami, kwiatami, wstążkami itd., słowem, jeśli jest niejako skromną koroną kobiecego zjawiska.

Panie paryskie lubują się w czarnych, nadzwyczaj skromny wygląd mających sukniach. Szczególniej na wieczorowe zebrania, do teatrów, na koncerta itd. czarna, gładko zrobiona suknia, bardzo długa, karczek i rękawy z przezroczystej materyi i ułożone na białym podkładzie, co robi wrażenie popielatego koloru, — oto ulubiony obecnie szczegół. Do takiej toalety najwyższym wyrazem mody jest wachlarz z żywych kwiatów, za który przemysłowcy w wielkich miastach Europy, sumy żądają. Bukiety nawet na ślubnych obrzędach zupełnie wychodzą z mody; wachlarze i tylko wachlarze, z rozmaitemi kombinacyami, naturalnie również zastosowane do koloru toalety i do okoliczności: inne na obiad proszony, inne do opery lub na koncert, inne dla panien a inne dla mężatek.

I jeszcze jedno: W ostatnich czasach inną jeszcze nowość przyniosła moda; oto panie szykowne zarzucają zupełnie perfumy, i rzecz to zupełnie naturalna; wachlarz z żywych kwiatów, a tu — inny zapach często złych perfum! Jeśli już ma być jaki zapach, to niech będzie bardzo dyskretny, z bielizny, pomiędzy którą w szufladach kładzie się suszone listki różane albo fiołkowy (prawdziwy) korzeń, lub gdy się ją skrapia dobrą kolońską wodą.

Spacerowe suknie najgustowniejsze, a zarazem najskromniejsze widzieć można we Wiedniu. Żadna prawdziwie szykowna dama nie ubierze się na ulicę lub do ogrodu w jedwabie ani atłasy; białe lekkie suknie, płócienkowe nawet, zgrabnie zrobione do tego kapelusik biały, aksamitką otoczony, a młode panienki lubują się jeszcze zawsze w marynarkach lub dżokiejskich czapeczkach. Strój taki nie przeszkadza przy zabawie, nie zaszkodzi mu też wiele nagły deszcz, a wygodny jest miły dla oka i bardzo praktyczny. Kapelusz służyć może na długo, przybrany tylko aksamitką zastosowaną kolorem do sukni. — Drogich kamieni, złota, świecideł, jak najmniej powinno się do wyjścia używać; inna rzecz na wieczorne zebrania: kto posiada klejnoty (szczególniej niefałszowane) niech je zabierze — ku zazdrości — przyjaciółek i nieprzyjaciółek.

Dom i kuchnia.

Jak się zachować w razie pokąsania przez owady.

Poruszamy sprawę bardzo na czasie!

Otóż zazwyczaj osoba ukąszona ślini miejsce ukąszone, lub zalepia je również pośliniony plasterkiem angielskim. Obydwa sposoby są nader szkodliwe, ze śliną bowiem można do ranki wprowadzić rozmaite drobnoustroje, które stale goszczą w naszej jamie ustnej. Tutaj zaznaczyć wypada, że jeżeli wogóle ktoś koniecznie chce jakieś zdrapanie naskórka pokryć plasterkiem, to niechaj go umacza w wodzie przegotowanej.

Wracając do sprawy ukąszeń, radzimy przedewszystkiem usunąć żądło, jeśli ono pozostało w rance, za pomocą szczypczyków lub czysto obmytych palców (paznokci); po tym zabiegu należy nalać na miejsce ukąszone kroplę amoniaku; w razie, gdy niema amoniaku, można rankę obmyć wodą z octem, — poczem, w razie silnego opuchnięcia, kłaść okłady wody z octem; wreszcie, gdy ból nie ustępuje, najlepiej zwrócić się do lekarza, który przepisze środek odpowiedni.

Jeszcze jedna uwaga; należy dobrze oglądać owoce, zanim się takowe jeść zacznie, gdyż razem z owocem łatwo wprowadzić można do ust takie owady, jak osy lub pszczoły. Ukąszenie w gardzieli może spowodować śmierć.

:: HUMORYSTYKA ::

U nowego dziedzica.

Pewien dorobkiewicz kupił sobie dobra ziemskie i tylko co przyjechał do swoich posiadłości wraz z małżonką. Na wstępie wita go ekonom radosną nowiną.

— Ośmielam się życzyć wielmożnemu dziedzicowi, wszelakiego dobrego i pragnę mu ogłosić radosną nowinę.

— No, cóż tam wesołego?

— Otóż, zaraz po przyjeździe wielmożnego dziedzica ocieliły się dwie krowy...

— Ajaj! — woła uradowany dziedzic i zwracając się do żony, mówi: „Widzisz, żono, dopiero przyjechaliśmy, i już dwoje bydląt przybyło!“

— A to czyj portret?

— To jest prziodek mojego syna.

— Jakto pańskiego syna? — a więc pański?

— Na co mój? — czy to ja nie mogę miecz swojego prziodka, a on swojego?!!!

— Na co pan dobrodziej nosi watę w uszach?

— Aby mi rozum z głowy nie uciekł uszami.

— Pan dobrodziej pewnie zaczął niedawno dopiero używać tego środka...

Bankier Habgeld (do córki). W dzień twoich imienin, kochana moja Saro, przynoszę ci sznur pereł w prezencie.

Córka. Ach! drogi tatku, perły łzy oznaczają.

Bankier. Nie obawiaj się, moje żecko. Te perły nic nie oznaczają. One są fałszywe...

Nowy urząd.

— Franusiu, co tam u ciebie robi w kuchni strażak?

— To jest proszę pani, strażak, co to rewiduje, czy się czasem gdzie nie pali!

Coś niezwykłego.

Abraham (wchodząc do domu swego przyjaciela, który umywa ręce). Icyk! um Gottes willen! wus hostdi getin?! ty poczebujesz miecz rozlewanie krwi na swoje sumienje!!

Izak. Co ty powydżałeś, Abron?! za co ja mom miecz krwi rozlewanie na sumienie?

Abraham. A locegi ti sobie tak dlugo ręków wimiwosz?!!...

W sądzie.

— Wiek pani?

— Lat trzydzieści.

— Jakto, przed sześcioma laty pani stając w charakterze świadka podałaś lat trzydzieści?

— Panie sędzio, ja nie należę do osób, które wobec sądu dziś mówią tak a jutro inaczej.

Biedna dziewczyna ze wsi chciała iść koniecznie za mąż. Dobroczynna pani ze dworu darowała jej 50 koron na posag, lecz chciała także poznać jej narzeczonego.

Po jakimś czasie obdarowana przybyła do dworu z jakimś bardzo niepozornym nizkim, wychudzonym, niemłodym człeczyną, aby go swej dobrodziejce przedstawić.

— Ależ, Marysiu moja! cożeś sobie ty za mizeraka wybrała za męża?

— Prose łaski pani! coz mozno lepsego za pięćdziesiąt koron pzy dzisiejsej drozyźnie otrzimać?

Przeholował.

— Widziałeś moją narzeczoną?

— A naturalnie...

— Prawda jakie ma rączki?

— I jakie rączki!

— A oczy?

— I jakie ma oczy!

— Szkoda, że jest troszeczkę garbata.

— I jak jeszcze garbata!

PARASOLE

najlepszej jakości

męskie i damskie

od 3 kor., poleca

Teofil Bękner

Kraków, Długa 4.

Dla dzieci!

polecamy książeczki wydawane przez
Jadwigę z Łobzowa.

1)	„Polne kwiaty“ zbiór legend . .	cena 70	hal.
2)	„Jak ja się bawiła“ wierszyki .	„ 40	„
3)	„O królewnie Kasi“ powiastka .	„ 40	„
4)	„Trzeci Maj“ obrazek	„ 40	„
5)	„Powinszowanie“ wierszyki . .	„ 30	„
6)	„Przed latami“ wiersze	„ 50	„
7)	„Paciorek“ wiersze	„ 50	„
8)	„Pójdę ja pójdę“ deklamacye . .	„ 40	„
9)	„Coś dziwnego“ wiersze i powiastki	„ 30	„
10)	„Korale Marysi i Kasi“ teatrzyk	„ 20	„
11)	„Król kochany“ teatrzyk . . .	„ 20	„
12)	„Przeczytam kilka gawęd“ . . .	„ 24	„
13)	„Krakowiaczek“ wierszyki narod.	„ 30	„

Dostać można w wszystkich księgarniach, albo pisać do Krakowa: **Jadwiga Strokowa, Kraków, Kilińskiego 5.**

Przyrządy i słoje

do konserwowania jarzyn i owoców **systemu Wecka** poleca wyłączny skład i sprzedaż

W. Halski, Kraków

Sukiennice 21, 22.

Cenniki ilustrowane na żądanie.

B. Wierzejski

Kraków Rynek, róg Floryańskiej

dostawca dla

Związku lekarzy

poleca w wielkim wyborze

Bieliznę białą i kolorową, Krawaty, Rękawiczki, Kapelusze.

Telefon Nr. 368.

W. Stachowicz

krawiec męski

W Krakowie. Rynek główny I. 29.

poleca na sezon wiosenny i letni wielki wybór materyałów angielskich, francuskich i krajowych.

Ceny umiarkowane.

Skład fortepianów

W. Barabasza

Kraków, Rynek 39, A-B.

dom W-go Fischera — poleca

instrumenta używane po cenach najniższych, tak do **wynajmu** jak i **sprzedaży.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.